

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 16 LISTOPADA 1929 ROKU

NR. 46

TREŚĆ NUMERU: Polskie Stowarzyszenie Kobiet z Wyższem Wykształceniem — *Dr. Marja Kuźmińska*. Ideały i czarny chleb pielęgniarki — *J. K.* Poezje: „Meduza“, „Sosny na Helu“, „Wydma“ — *Antoni Madej*. Zawalidroga (d. c.) — powieść — *Herminja Nagleroma*. Na marginesie nowych prądów — *M. H. Szpyrkówna*. Poemat o Słowackim — *Zofja Miszevska*. Z muzyki — *S. P. O.* Z teatrów — *H. N.* Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świecie i w domu. Falszywy wstyd — *Marja Gołębowa*. Jak chińczycy hodują hiacynty — *A. D.* Prysmaki grzybowe — *Dr. F. Teodorowicz*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Futra na zimę — *Well*. Dodatek powieściowy: „Portret króla“ — *Carry Brachvogel*. Arkusz wzorów

POLSKIE STOWARZYSZENIE KOBIET Z WYŻSZYM WYKSZTAŁCENIEM

Każda organizacja jest dorobkiem społecznym, jest elementem życia społecznego, wartością, którą należy cenić i ochraniać. Obojętność, która czasem ją otacza, wypływa z nieświadomości celów i znaczenia danej organizacji dla życia wewnętrznego kraju, a niekiedy dla współżycia intelektualnego na terenie międzynarodowym.

Taką ważną placówką, która od początku spotkała się z obojętnością nawet tych, które najbardziej powinny być zainteresowane, jest Polskie Stowarzyszenie Kobiet z Wyższem Wykształceniem.

Stowarzyszenie zostało zorganizowane w r. 1926 i jest członkiem Międzynarodowej Federacji Kobiąt Uniwersyteckich (International Federation of University Women, która istnieje od r. 1919, a w której skład wchodzi 35 stowarzyszeń narodowych z całego świata. Siedzibą Federacji jest Londyn.

W ciągu siedmiu lat — od 1919 do 1926 r. — przedstawiciele nasi zagranicą byli niejednokrotnie interpelowani, czy w Polsce niema kobiet z wyższem wykształceniem, że dotychczas brak ich organizacji w Federacji Międzynarodowej?

W 1926 r. powstała więc nową organizacja kobieca.

Jaki jest jej cel? Jak wyjaśnia § 4 statutu: Stowarzyszenie ma na celu zrzeszenie kobiet z wyższem wykształceniem dla obrony ich interesów i dla nawiązania przyjaznych stosunków z organizacjami o celach pokrewnych zagranicą przez a) ułatwianie

kobietom studjów wyższych w kraju i zagranicą, b) ułatwianie kobietom zdobywania stanowisk, odpowiadających ich fachowemu wykształceniu i zapewniających im należyty wpływ na sprawy gospodarcze, społeczne i polityczne kraju.

Tak pojęte cele winny wzbudzić wśród szerszego grona kobiet z wyższem wykształceniem zrozumiałe zainteresowanie. Liczba członkiń tego nie wykazuje. Stowarzyszenie posiada siedem oddziałów z siedzibą: w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Bydgoszczy, Łodzi i Wilnie; członkiń liczy razem ok. 580, co przedstawia tylko 19 proc. ogółu kobiet z wyższem wykształceniem.

A jednak działalność tej niewielkiej ilości jest bardzo owocna, mimo wielkich trudności z powodu braku środków materialnych i rąk do pracy.

Przyjrzyjmy się wynikom ich kilkoletniej pracy w kraju.

Stowarzyszenie Kobiet z Wyższem Wykształceniem zajęło czynne stanowisko wobec zagadnienia żeńskiego szkolnictwa ogólnokształcącego, ze względu na wysuwany przez nieliczne grono ludzi projekt: obniżenia poziomu szkół żeńskich. Stowarzyszenie będzie walczyło o jak najwyższy poziom szkolnictwa bez względu na to, kto do tych szkół uczęszcza.

Przy Stowarzyszeniu istnieje sekcja akademicka, utworzona ze studentek ostatnich lat. Stowarzyszenie służy im pomocą w postaci listów polecających, informacji i t. p. W projekcie jest zgromadzenie spe-

ejalnego funduszu na stypendjum dla członkiń akademickich.

Z wystawy poznańskiej, w której Stow. wzięło wydatny udział, pozostały liczne materiały, służące obecnie do szeregu prac, których celem jest wykazanie znaczenia pracy kobiecej dla życia narodowego. Materiał statystyczny, dotyczący się wyższych studjów kobiecych i innych zagadnień, ujęty będzie w broszurach, gdzie dane statystyczne, odpowiednio opracowane, pozwolą na zorientowanie się w dorobku pracy kobiety polskiej.

Pierwsza broszura, wykazująca w świetle cyfr konkretne wyniki studjów kobiet na wyższych uczelniach w Polsce, już jest w druku i niezadługo się ukáže.

Wielce ciekawą pracę przeprowadza oddział lwowski, wydaje mianowicie bibliografię dzieł naukowych i literackich—kobiet. Dane, ujęte w dwóch tomach, są już przygotowane do druku. Pierwszy tom ukáže się na początku grudnia r. b. Obejmie on wszystkie prace kobiece naukowe, publicystyczne, literackie i t. p. za lata 1918 — 1928. Drugi tom będzie obejmował prace kobiet w. XIX. Pierwszy zeszyt, który już obecnie możemy oglądać, gdyż umyślnie został wydany wcześniej na zjazd Międzynarodowej Federacji Kobiet w Genewie, przedstawia się bardzo estetycznie. Bibliografja piśmiennictwa Kobiet Polskich — taki tytuł nosi powyższe dzieło — wydawana jest pod redakcją naczelną p. Kurkowej przy udziale komitetu redakcyjnego we Lwowie.

Stowarzyszenie organizuje również bibliotekę prac kobiecych i ma nadzieję, że kobiety polskie nie poskąpią swoich prac dla wzbogacenia księgozbioru.

Pozatem Stowarzyszenie ułatwia swym członkiniom, w razie wyjazdu zagranicę na studia, otrzymanie wszelkich danych, dotyczących się warunków życia; za pośrednictwem członkiń Federacji uzyskuje się wszelkie możliwe ulgi.

Jedynie przez Stowarzyszenie można otrzymać stypendjum międzynarodowe. Dwa stypendja na studia w Londynie otrzymały Polki za pośrednictwem Stowarzyszenia. Obecnie tworzy się wielki fundusz stypendjalny międzynarodowy — udział Polski wynosi 146 funtów szterlingów.

Stowarzyszenie rozpoczęło budowę domu wypoczynkowego w Jastrzębiej Górze, gdzie członkinie

będą mogły spędzać wakacje nad morzem. Plac ofiarowany jest przez członkinię krakowskiego oddziału, p. Tomicką.

To są wyniki działalności Stowarzyszenia w ciągu trzech lat w Polsce.

Na terenie międzynarodowym Stowarzyszenie godnie reprezentuje kulturę polską. Na zjeździe w Genewie w sierpniu b. r. nasze delegatki zabierały głos, wyjaśniając różne kwestje; działalność ich tem bardziej była pożyteczna, że w dalszym ciągu zagranicą jeszcze niezupełnie dobrze orjentuje się w wielu sprawach, dotyczących się naszego kraju.

Znaczenie Federacji oceniają społeczeństwa zagranicą, rozwija się ona świetnie we wszystkich krajach, jak to wykazał zjazd genewski; tylko w Polsce brak zainteresowania stawia tę ważną placówkę w ogromnie trudnem położeniu. Brak lokalu, brak środków nawet na najdrobniejsze wydatki, jak prowadzenie korespondencji, tamują jej rozwój.

W obecnej chwili Stowarzyszenie przeżywa okres reorganizacji, Statut będzie poddany rewizji.

Dotychczas zarząd Koła Warszawskiego był jednocześnie zarządem wszystkich oddziałów; obecnie ma być wyłoniony zarząd z pośród wszystkich kół, jako centralna władza, niezależnie od zarządu Oddziału Warszawskiego.

Również nazwa budzi pewne zastrzeżenia, to też już na zjeździe w Poznaniu wysuwano projekt jej zmiany.

Kwestja reorganizacji wypłynie na najbliższem posiedzeniu walnem, które odbędzie się w drugiej połowie listopada r. b.

Stowarzyszenie pragnęłoby prowadzić jak najintensywniejszą pracę, ale wiele poczynań rozbija się o obojętność kobiet z wyższem wykształceniem — dla własnej organizacji.

Gdy zczasem, dzięki swej usilnej pracy, obudzi żywe zainteresowanie w społeczeństwie, zyska nowe siły dla realizowania swych projektów, będzie mogło rozwinąć swą działalność w kraju; dzięki silnej organizacji, zajmie wówczas odpowiednie stanowisko w Międzynarodowej Federacji Kobiet Uniwersyteckich.

Oby to zainteresowanie nadeszło jaknajszybciej!

Dr. Marja Kuźmińska.



IDEAŁY I CZARNY CHLEB PIELEŃNIARKI

Bardzo ładną książeczkę napisał dr. Władysław Szenajch o życiu słynnej Florencji Nightingale, na tle jej przykładu i wskazówek układając coś w rodzaju moralnego kodeksu pielęgniarki.

Książka „Z życia wielkiej pielęgniarki” ma wszelkie potem dane, by bijącym z niej szczerym entuzjazmem zapalić umysły i serca młodych i uspołecznionych, lub zdradzających skłonności w tym kierunku, osób. Chwyta za serce żywą poezją współczucia cierpiącym, pokazuje wspaniały wzór prawdziwego, ludzkiego szczęścia, jakie osiągnęła Florencja Nightingale, zawarłszy całą treść i cel swego życia w stworzeniu przełomu na polu opieki nad chorymi; w niesłychanie piękny, prosty, mądry sposób ustala reguły, bez których pielęgniarka ani zawodowo nie stanie na dostatecznej wyżynie, ani moralnie nie odpowie swym wzniosłym zadaniom.

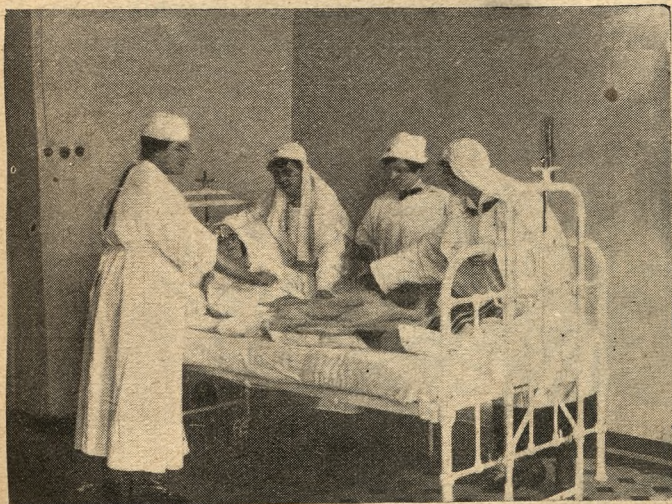
Autor tej książki, która dla wszystkich będzie wysoce interesującą i szlachetną lekturą — mówi na końcu:

— Nightingale żąda od pielęgniarki jednocześnie bardzo mało i bardzo dużo.

Bardzo mało: ani poświęcenia, ani pokory, ani zaparcia się siebie, ani dobroci anielskiej, ani innych cnót, które egzaltowani „entuzjaści słowa” głoszą, lecz rzadko kiedy temi cnotami żyją.

Bardzo dużo: wymaga od pielęgniarki „człowieczeństwa”.

Słusznie podkreśla też dr. Szenajch, że ukończenie szkoły nie czyni jeszcze pielęgniarki. Posiadając dyplom, powinna ona jeszcze przez lat kilka pracować na salach szpitalnych. Bo tam właśnie nauczy się dopiero prawdziwego człowieczeństwa, w obcowaniu z cierpiącymi chorymi.



Przy opatrunku.



Pielęgniarki na sali kobiecej.

Jeszcze jedną uwagę czyni autor. Oto pragnie, by praca zarówno pielęgniarek, jak i lekarzy, była wolna od psychiki „handlarskiej”, aby była powołaniem. Ten ostatni postulat — o ile dotyczy pielęgniarek polskich — robi wrażenie mocno... ironiczne. Sytuacja naszych pracowników pielęgniarstwa jest tak uboga, tak poniżej poziomu, należnego człowiekowi pracy — że słowa o psychice „handlarskiej” wręcz urągają wszelkiej dyskusji.

Są może jakieś uprzywilejowane szpitale, gdzie niewykształcona pracownica pobiera 400 zł. miesięcznej pensji — podobno są, lecz ogół pielęgniarek naszych, niezależnie od dyplomu i odbytych kursów, skazany jest na płace, zaczynające się od stu kilkudziesięciu, dochodzące do 300 zł. miesięcznie. Pielęgniarki społeczne, samorządowe etc. są zaliczone do najniższych kategorii plac w szczeblach urzędniczych. Siostry Czerwonego Krzyża, pracujące w szpitalach wojskowych, płatne są nędznie, przy pracy bardzo uciążliwej, niepodlegającej ograniczeniom czasu.

Szczególnie bolesna jest z wielu względów sprawa Sióstr Czerwonego Krzyża. Wiele pośród nich — to są te same bohaterskie niewiasty ze szpitali frontowych i ambulansów wojennych... przeszły przez niebezpieczeństwa bitew, przez okropności baraków epidemicznych. Stargały siły i zdrowie, przyszłość mają niezabezpieczoną. I dziś pełnią nadal z niemniejszym hartem ducha służbę szpitalną, trwającą po 12—24 godzin, z częstymi dyżurami nocnymi. Minimalne pensyjki nie pozwalają im na żaden komfort codziennego życia. Ani na dobre, higieniczne



Na męskiej sali.

mieszkania, ani na całe buciki. Skąd czerpią siły i pogodę uśmiechniętej twarzy przy chorych? — nie wiadomo, jeśli się nie dopatrzeć w ich sercach nadludzkiego heroizmu.

Siostra Czerwonego Krzyża — jeśli zapadnie na zdrowiu — a przy tym trybie życia, jaki z musu prowadzi, fakt to nieunikniony — znajduje się w sytuacji stokroć gorszej, niż każdy z jej pacjentów. Pomoc lekarska Kasy Chorych, rzadko kiedy przychodzi w porę i dość intensywnie. Nic dziwnego, że anemja z początku, a gruźlica w następstwie ustawicznie porywają z dzielnych szeregów ofiary wycieńczającej pracy i ciężkich warunków.

Wprawdzie z chwilą ustanowienia ubezpieczeń pracowników umysłowych, Siostry Czerwonego Krzyża mają prawo do emerytury na starość — ale korzystać z niej będą te młode, które obecnie zaczynają pracę: zasłużone Siostry wojenne i starsze wiekiem już nie osiągną tej pomocy. Mogą conajwyżej „z łaski“ dostać rentę inwalidzką — kilkadziesiąt złotych miesięcznie! Chyba, że w pomoc przyjdzie tak zwany wykup lat... Oczywiście, żadna z Sióstr nie znajdzie na to środków we własnej kie-

szeni... Toteż „Zrzeszenie Sióstr Czerwonego Krzyża“ dąży do uzyskania na ten cel pomocy państwowej. Zarząd Czerwonego Krzyża ze swej strony czyni starania o poprawę warunków bytu Sióstr: o urządzenie dla nich mieszkań i sal wypoczynkowych, Domów Macierzystych, które byłyby ogniskiem dla pozbawionych pracy i weteranek, o podniesienie poziomu wykształcenia i skali płac.

Lecz w tej chwili postulatem jeszcze nieosiągalnym jest, na przykład, ustalenie „tylko“ 10-ciu godzin pracy dla Sióstr! Tak, jak im, nie wolno pracować najtęższemu robotnikowi!

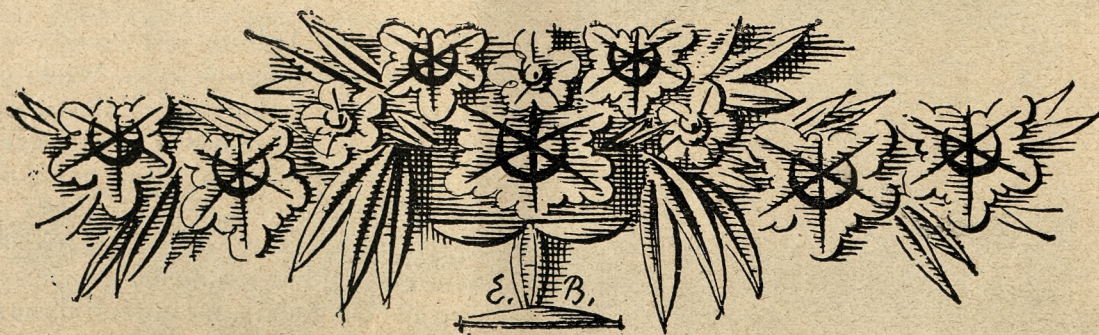
Ten najbardziej humanitarny zawód sam nie korzysta jeszcze z praw humanitarnych naszego stulecia. Czyż to nie ironja?

W tych ciężkich warunkach materialnych — Siostry stworzyły własną organizację, urządzają coroczne zjazdy i prowadzą akcję zawodową i samopomocową. Mają kasę samopomocy, która wydaje pożyczki, korzystają od paru lat z letniska na Pomorzu, gdzie Siostry mają sposobność do dobrego odpoczynku i wytchnienia, płacąc bardzo niskie ceny za utrzymanie.

Zrzeszenie ma szereg dalej sięgających projektów, które może urzeczywistni powoli i dzięki solidarnej oraz ofiarnej współpracy swych członkiń. Ale czyż opinja społeczna, czy władze, którym podlega jest służbowo praca Sióstr wojskowych i pielęgniarek społecznych, długo jeszcze ścierpią to naprawdę rażące wykorzystywanie ich ciężkiej pracy, w warunkach, urągających możliwościom przeciętnej ludzkiej, kulturalnej i zdrowej egzystencji?

Bo przecież — od pielęgniarki mało i dużo się wymaga — jak pisze za wielką przewodniczką duchową pielęgniarek dr. Szenajch — wymaga się człowieczeństwa! Niechże więc ta pracownica ludzkości ma zapewnione bodaj minimum człowieczej egzystencji! A potem dopiero przyjdzie czas na wyrażanie obaw, by nie opętała jej psychika „handlarzka“. Narazie niema o czym mówić.

J. K.



ANTONI MADEJ

M E D U Z A

*Na otwartej szybie wody delikatna mgielka —
ruchomy kłębek przezroczystej tkanki —
to meduza — kolorowe światelko —
modra, promienna plamka.*

*Faluje wdzięcznie parasolem krążka.
Pieszczotom poddaje się fali.
Skurcza macki, jak błękitne wstążki.
Po morzu żegluje wytrwale.*

SOSNY NA HELU

*Jeśli tu slychać ciszę — tę ciszę śmierć sieje,
z włókien wiatru ją wsnuwa w gałęzie obwisłe.
I oto smutne sosny boleśnie się chwieją
i powoli, powoli tracą wszystkie zmysły.*

*Ku wschodowi schylają poranione czola,
ale jeszcze się preżą, jeszcze zmuśnie walczą,
aż upadną na ziemię, aż w piasek dokoła
wpiją w skurczu śmiertelnym rąk swych zimne palce.*

W Y D M A

*Nie szumi tu głośno życie,
lecz puka pocichutku
w korzonkach rodmuchrzycy,
wargami listków prosi
o krople słodkiej rosy,
ostrożnie, pomalutku
twarzyczkę bladą podnosi —
to spojrzę w słońce z bojaźnią,
to znów się w piasku chowa,
wybłyśnie i znów zaśnie
na długo w trumience żwirowej.*



HERMINJA NAGLEROWA

28)

ZAWALIDROGA

(powieść)

Można było patrzeć wprost w słońce i widzieć, jak w czarnych powiekach chmury zwięzła się świecąca żrenica, niby mrużąc się do snu. Gdy chmury nad nią się zawarły, odrazu granatowy cień padł na ziemię i wzmógł się deszcz. Na kałużach wyprysły bańki, niby perły, i trzeba było zmykać do domu przed ciosami ulewy.

Na ganku stał ojciec.

— Ładnie to wygląda! Takie żniwa! Barometr trochę drgnął na pogodę, ale na jutro jeszcze pewna słota, bo słońce zaszło za chmurą. Zmokłeś? — dodał uprzejmie.

Ale Franek nie cieszył się już tą uprzejmością ojca, odpychał ją, jak nieznośny ciężar. Teraz chciał być wolny, chciał, aby nigdy nie było nastąpiło to pojednanie, nigdy nie były te szczęśliwe dni. Stąpał tu przecież na podminowanym gruncie, nic nie wiedząc, że lont był już zapalony. Oh, niechby już wybuchło, niechby już w tej chwili! Jak szczekanie w wyschlęm gardle, gotował się głos.

— Posłałem po doktora, bo z tym Iwasiem podobno źle — pogadywał cierpko ojciec.

— Co?! Nic nie wiem, wczoraj rozmawialiśmy do późna. — Odrazu tylko ta wiadomość nabrała największego znaczenia.

— Ma wysoką gorączkę i w taką słotę trzeba było gnać konie.

Nie można było już nic mówić, gdy oburzenie dławilo się od najgorszych oskarżeń. O konie mu idzie, o konie, a ten niechby zdechł! Zły, nieludzki, potworny człowiek!

Ale właśnie, gdy to myślał, śpiesząc się do Iwasia, Kaliniecki dziwił się sam sobie, że tak bardzo cieszy go ten syn. Jakby rozgałęział się dumą, jak-gdyby szumiał soczystą, zieloną radością, gdy go tu widział przy sobie. I wśród udreki, wśród tych wszystkich pogmatwań, jakie się teraz potworzyły, Franek był mu własny młodością w miłych oczach, zagłośnym harmidrem, czy nawet niesfornością gestów. I choć czasem jakiś mały ruch mięśni na policzkach przypominał Zofję, nic nie mogło popsuć fizycznej identyczności syna z ojcem.

— Lubi nawet te same potrawy — stwierdził Kaliniecki ze wzruszeniem.

XXVIII.

Pod rzędem poczerniałych obrazów stało łóżko Iwasia. Na szydelkowanych wstawach rysowały się kanciaste gwiazdy, a pierzyna narastała wysoko, jak

ciasto w dzieży. Zagrzebany w betach, Iwaś był żółty, spocony i brzydki. Ogrodnikowa jęczała głośno:

— Chyba już umrze, chyba umrze!

Mała ścienna lampa świeciła mosiężnym krążkiem i w jej blasku święty Jerzy zabijał olbrzymiu mieczem wierzgającego smoka. Pod stopami Matki Boskiej fruwały aniołki, święta Magdalena, przykryta rudemi włosami, tarzała się po ziemi, a pośród tych świętych i bolesnych twarzy patrzyły groźnie czarne oczy Chmielnickiego.

— Widzisz, chyba już umrę — szepnął Iwaś.

— Zaraz przyjedzie doktor; poco myśleć, że już jest najgorzej?

Franek usiadł na krześle i nie wiedział, jak się zachować, co mówić, gdy cały pokój napelniony już jest lamentem ogrodnikowej. Ale ten lament zdawał się właśnie dogadzać choremu, bo leżał cicho, jakby zasłuchany. Wreszcie skrzywił się męczeńsko:

— Wody!

Ogrodnikowa podała mu wodę w garnuszk, malowanym w różę:

— Masz!

— Fe, ciepła, gorzka.

Odepchnął matkę.

— Dam ci z sokiem malinowym.

— Niech będzie.

Uniósł się i pił łapczywie z głośnym bulgotem w przelyku. Potem dopiero znowu przemówił do Franka.

— Już w nocy zrobiło się źle. Nogi odrazu mi spuchły, gorączka ścisnęła głowę, jak rozpalone kle-szcze. A teraz chcę i nie chcę umierać. Chciałbym jeszcze trochę pomyśleć nad rozmaitemi rzeczami. W nocy, kiedy jest cicho, kiedy się zamknie oczy, myśli stają się, jak wielki obszar nieba nad głową. Rozumiesz? Wtedy jest dobrze. Ale zamknąć oczy i już nie myśleć...

Ogrodnikowa płakała teraz cicho, siąkając nos w fartuch:

— Wychowałam, wyhodowałam, a taki mi umrze.

Nagle krzyknęła:

— Idzie! Doktor idzie!

Franek, wcisnąwszy się w kąć, widział, jak lekarz osłuchiwał, obmacał chorego, jak go miętosił krótkimi, tłustymi palcami. Iwaś musiał działać według krótkiej komendy, odpowiadając lekarzowi grzecznie i oficjalnie, jak w szkole. Lekarz zmierzył gorączkę, umył ręce, mówiąc przytem wesoło i głośno, potem złem piórem naskrzypiał zamaszystą receptę

i wreszcie rozparł się na krześle, podciągając krótkie, butelkowe uda.

— Moją kobietę, trzeba do szpitala; najlepiej zaraz jutro dobrze wymościć wóz, ułożyć syna, jak w łóżku, i koniecznie do szpitala.

Ogrodnikowa zgodnie kiwała głową.

— Nie mówię, żeby było bez nadziei, owszem, w szpitalu może się wyleczyć. Dieta, opieka lekarska — za parę tygodni będzie zdrow.

Kłaniała się nisko za te łaskawe słowa, a gdy doktor wyszedł, powiedziała do Franka:

— Panicz tu przy nim posiedzą, a ja pójdę do pana dziedzica prosić o furmankę na jutro.

Zaczęła się myć, przebierać do koszuli, nie zważając wcale na obecność Franka. Pokilkakroć przyczesywała włosy, nawet rurką, zagrzaną na lampie, karbowwała grzywkę. Z namysłem układała fałdy spódnicy, sznurowała wysokie buciki i, nie spojrzawszy na syna, wyszła, szumiąc, jak przydrożna olcha.

— Widzisz, Iwaś, że nie jest tak źle.

— A jak ty myślisz, kiedy ona wróci?

— Kto?

— Matka. Stroiła się, jak na wesele. — Iwaś chichotał i bezczelnie patrzył w oczy Franka. — No, nie udawaj, nie rób niewiniątka.

— Mówiłeś, że cię to nic teraz nie obchodzi.

— To się tak mówi, ale przecież ty myślisz tak samo, jak ja. No, przyznaj się. — Przykleił się do ręki Franka gorącą, wilgotną dłońią. — Możesz mi to powiedzieć, jak... bratu.

Dłoń Iwasia rozpałała się, parzyła, jak wrzący lak.

— Ale my się nie damy, co? Na złość się nie damy. Będziemy żyć, deptać im po piętach, przeszkadzać. Po to tu jesteśmy, my, synowie! Wyhodowała mnie, wychowała — przedrzeźniał lament matki — to i będę żyć. Niech ma z tego swój profit. I ty tak samo. Na twojem miejscu wygnalbym tę lafiryndę ze dworu — jedną, drugą, trzecią i ile ich tam jest. Koniec, tatuńciu, już się dość nabrykał! Ale ty — co? Delikatnie, z dobrem wychowaniem, czarne okulary na oczach, aby i w smutku nic nie widzieć!

Buchał gorączką, jak zjełczałym tłuszczem, i, odrzuciwszy pierzynę, tarzał się po prześcieradle, niby koń na łące.

Franek zaciskał zęby, żeby nie krzyżeć, żeby się jeszcze więcej nie plugawić w przymierzu z tym chłopcem. I tak już połączeni byli jednaką myślą, i tak już niosła ich ta sama brudna fala.

Nie minęło pół godziny, gdy wróciła ogrodnikowa. Ochlapana, pomierzwiona, zgarniając kosmyki mokrych włosów, zszarpnęła z siebie spódnicę.

— Będą konie, pan dziedzic obiecał dać. —

Głos jej się łamał, trząskał, jak gałęzie chróstu. Napół rozebrana, stanęła przed Frankiem.

— A ta pannica, no! za drzwi mnie wypchnęła! Iwaś poderwał się z pościeli:

— Co? Zaco? Dlaczego?

— Chce panować, małpa jedna!

Franek usłyszał głośnie sapanie tych dwojga i swoje własne. Jakgdyby furkotały płomienie, szarpane wiatrem.

Nagle ogrodnikowa ryknęła płaczem i przypadła do syna:

— Abyś mi nie umarł, abyś mi choć ty żył!

Belkotała coś o samotności, opuszczeniu, ponieważ, o grzechu, który pali krew.

— Żeby nie taka kara, żeby nie na ciebie za mnie! — spazmowała.

— No, matka, przestań!

Pochylił się ku niej, niezgrabnie objął za szyję. Za krótkie rękawy koszuli podjechały ku łokciom, a ramiona chude, niemal dziecinne, skrzyżowały się na plecach matki.

— Nie umrę, nie płacz. Nie dam cię krzywdzić, nie dam poniewierać — wyszeptywał w mokre włosy matki.

Nie można było znieść tego, nie można było na to patrzeć, jak się tuliła do syna, całując jego ramiona, jego odsłoniętą pierś. Już tylko coś mruzcili sobie twarzą przy twarzy, coś tkliwie i żałośnie wymłaskiwali.

Franek cichutko wymknął się z pokoju. Bóg jeden wiedział, jak się w nim skręcał, jak się kłębił obłąkany ból.

XXIX.

Pod przelotem chmur szumił sad, a złość wiatru targała liśćmi, ciężkimi od deszczu. Na chwilę zółcił się świat w słońcu, na chwilę stawał się biały od spienionej ulewy. Franek nie ruszał się dziś ze swego pokoju i, przyduszony apatją, kuł w jedną myśl, niby dzięcioł w korę.

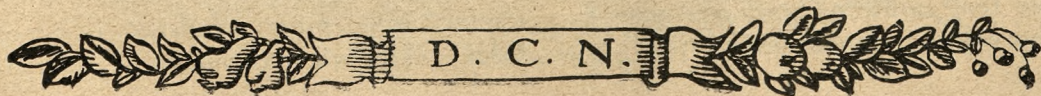
— Wyjadę, wyjadę, muszę!

Podrywał się więc i wrzucał do walizki garnitury, krawaty, aby znowu zamyślać się nad szkieletem zegarka, nad połamaniami paznogciami.

Okolo południa wiatr przegnał chmury i pogoda rozjaśniła pokój. I wtedy, jakby się rozsunęły ściany, jakby się rozszerzyły płuca, do głębszego oddechu.

— Jakoś to będzie!

Ogrodnikowa, wróciwszy z miasta, zaszła do Franka, aby mu powiedzieć, jak tam było. Chwaliła szpital i dobroć siostry, była wygadana, miała świeżące oczy, a dech jej zalatywał wódką.



M. H. SZPYRKÓWNA

NA MARGINESIE NOWYCH PRĄDÓW

Z niepodległością spłynęła na Polskę i międzynarodowość. Szeregi zjazdów, popisów sportowych, zawodów i innych kosmopolitycznych spotkań znaczą od kilku lat nasze życie wewnętrzne. Są między nimi mniej lub więcej ciekawe i wartościowe. Ale w każdym razie, są.

Niedawno uwagę interesującej się nowymi kierunkami części społeczeństwa skupił zjazd antropozoficzny, trwający przez ostatnie dni października. Urządzony był pod znakiem nauczycielstwa szkół powszechnych. Odbywał się w Towarzystwie Naukowym (ul. Śniadeckich), przy udziale zwolenników antropozofji w Polsce, zrzeszonych w zamknięte koła, oraz przybyłych z prowincji nauczycieli. Z Dornach, siedziby antropozofji, przybyła grupa delegatów i wykładowców, z wdową po twórcy kierunku antropozoficznego, prof. Rudolfe Steinerze, na czele.

W Polsce nieliczne zaledwie jednostki weszły w kontakt bądź z książkami Steinera, bądź z jego wyznawcami i mają konkretniejsze pojęcie o tem, co to jest antropozofja. Postronni zapytują zazwyczaj, czy jest to równoznaczne z antropologją, od dawna znaną, jako nauka o człowieku. Mniej biegli w nauce, ale bardziej obeznani z popularnymi odczytami, warszawiaci chętnie ją łączą z daleko głęśniej już znaną teozofją. Ponieważ odczyty zjazdu odbywały się po większej części w językach obcych, lokal był dość szczupły, a propaganda świadomie, czy przypadkowo, znikoma — ludzie dalej stojący pozostali nadal w dotychczasowym stopniu uświadczenia. Nie pojawiła się żadna ulotka, któraby dała pojęcie przechodniowi o możliwości poznania czegoś nowego lub wartościowego. Na sali stół z wieloma i wielkimi tomami dawał materiał bardzo wyczerpujący, ale, naturalnie, stracony, jako środek dożąnego objaśnienia.

Stąd też mało ech w pismach i wiele nieporozumień.

Nieporozumienie dosięgło szczytu w pokazach tanecznych — z punktu zaznaczyć należy, że bardzo udanych — jakie zjazd lansował, jako swoisty wytwór antropozoficzny, pod nazwą eurytmji.

Oba były bardzo ciekawe i niepowszednio wykonane. Zapelniona widownia ślicznego teatrzyku kolejarzy przy ul. Czerwonego Krzyża świadczyła, że dwa te pokazy, ogłoszone w pismach i anonsach, wzbudziły duże zainteresowanie. Tańce antropozoficzne! Eurytmja! Warszawa ma dość szkół plastyki i rytmiki, aby się tem zainteresowała zarówno fachowa branża choreografji nowoczesnej, jak i pu-

bliczność, obeznana już z pojęciem modnej dziś rytmiki. Eurytmja została odniesiona do tej samej rubryki. Nieporozumienie polegało właśnie na tem, gdyż jednak poza plastyką miały one, jak wykazał późniejszy komentarz, ze stanowiska antropozofji wyrażać zupełnie co innego, a w każdym razie — dużo ponadto.

I tu uderzyła mnie pewna charakterystyczna niedomoga naszych czasów: dysproporcja poziomów pomiędzy jednolitą, zdawałoby się, sferą tak zwanej inteligencji. Jest to zjawisko dziś nagminne. Życie się różniczkowało; bije mnogością rozmaitych źródełek, i nie każdy, kto wie o jednym, używa drugiego. Stąd język wspólny znakomicie się zatracza. Człowiek, obeznany z malarstwem, okazuje się analfabetą w literaturze. Literat nie wie o najnowszych zdobyczach elektrotechniki. Technik pogardza najzupełniej metapsychiką, bo nieraz jeszcze sądzi, że jest to równoznaczne z kręceniem stolików lub kiepskimi wierszami. A naukowiec-profesor serdecznie się dziwi, że ktokolwiek może poważnie myśleć o Lidze Przyjaciół Pokoju, jako o konkretnej możliwości.

Stąd analfabetyzm lokalny pstrzy naszą powierzchowną inteligencją, jak ospa, a nikt, rzecz prosta, rad się nie przyznaje, że tak jest. Pokrywamy, jak się da, nasze niedobory lokalne w tej, czy innej dziedzinie. I wywołuje to sądy o rzeczach komiczne, ale właściwie pełne żalości.

Czegoż brakuje w tym stanie rzeczy, kiedy nie możemy się wszyscy na wszystkim znać?

Nauczycieli? Nie! Pouczycieli. Takich, którzyby doraźnie, na miejscu, objaśniali bodaj najpobieżniej przybyszom, na co mianowicie patrzą. I co do rzec powinni. Każda sztuka musi mieć, wpuszczając przybyszów do przybytku: kustosza, któryby oprowadził i objaśnił. Dziś wszyscy potrosze jesteśmy tylko przechodniami w nauce i sztuce, jakkolwiek jest: niech więc nam o niej powiedzą bodaj najkrócej, ale tak, żebyśmy sobie i jej nie zrobili krzywdy moralnej przez błędny osąd. Czyż celowem jest jej udostępnianie inaczej? I czyż twórcom jej i tym, którzy ją kochają, nie dzieje się wtedy niesprawiedliwość?

Myślałam o tem z powodu zjazdu antropozoficznego i zwłaszcza jego eurytmicznych pokazów.

Wpuszczono publiczność na salę i pokazano jej wiele i pięknie odtanych numerów, ilustrujących bądź muzykę, bądź poezję. Może nawet — za wiele. Taniec, mimo wszystko, jest monotony w całości, jakkolwiek rozmaity w odcieniach, a ciągle

zmiany światła w jednym numerze męczą, wnosząc uczucie niepokoju, niezawsze jakgdyby zbiegające się z zamierzonym efektem. Niemniej, wykonanie było na wysokim poziomie i wywołało w widzach nie tylko zadowolenie, ale nawet w pewnych produkcjach — entuzjazm. Ale, niestety, taki sam, jak w każdym innym, dobrze wykonanych tańcach plastycznych — chociażby tych, z jakimi przyjeżdżał do Warszawy brat sławnej Izadory Duncan — także mający koncepcje psychiczne w podłożu plastycznych dokonań. Natomiast niewielu bardzo — żeby nie powiedzieć: nikt z niewtajemniczonych — nie zrozumiał, na czym właściwie polega antropozofizm tych tańców, w porównaniu z innymi, równie dobrej klasy? To znaczy, gdzie nagość także możliwie wyeliminowana, a pierwiastek zmysłowy podlega atrofji na korzyść przeduchowienia. W przybytku tej nowej sztuki — nie dano publiczności, chętnej poznania, kustosza. I wrażenia poszły na manowce, nie osiągając z widzianego treści, jakaby osiągnęły przy odpowiednim komentarzu. Najrdzenniejsza ich odrębność — antropozofizm — został nadal terrą incognitą dla profana. A przecież, po to głównie się szło!

Nazajutrz dopiero w sali Tow. Naukowego ogłoszony był pokaz objaśniający. Ale absolutnie inaczej się patrzy na rzecz, którą się już poznało teoretycznie, bodaj w zarysach. Z rzeczy, na tym pokazie mówionych, wynikałoby, że wyrazem wszelkiego uczucia jest dźwięk, zaś wyrazem dźwięku, zamkniętego w literę, jest pewien określony ruch. Schwytanie właściwych dźwiękom — a więc i uczuciom — ruchów, stanowi podłoże eurytmji — o ile się pisząca nie myli. Są to pewne wykresy konieczne i niepodległe zmianom. Stąd taniec w tem pojęciu byłby jakgdyby pisany ruchami. Niezależnie od powyższego komentarza, w tańcach uderzała specjalna ruchliwość właśnie ramion i dłoni. Ma to odpowiednik w twierdzeniu, że ramiona wyrażają poryw w górę, podczas gdy stopy zaznaczają ustosunkowanie się do ziemi. Polot w takim razie znakomicie górował. Zasadniczo jednak z najgorętszym przyjęciem spotkały się najzrozumialsze produkcje — dwie bajki Lafontaine'a, doskonale uplastycznione w tańcu, a wykonane ciekawymi i nowymi sposobami.

Naturalnie, mała tylko garstka z publiczności teatralnej trafiła na objaśnienie nazajutrz, i tem samym celowość podobnego komentowania wstecz można by podać w wątpliwość. Treść przytem powiedzianego była dla niewtajemniczonych o tyle nowa i rozsądzająca półgodzinne ramy komentarza, że pozostawiła niedosyt. Jednak nawet taka, przed produk-

cjami teatralnymi, byłaby o wiele bardziej pożądana, ażeby człowiek, zgadzając się lub nie, wiedział jednak, co mu podają do rozwagi nowego i może ciekawego? I znowu wracam do konieczności zaniechania fałszywych pozorów uniwersalności: potrzeba poucycieli! Z biur i fabryk, z warsztatów i szkół, wpadamy na godzinę obejrzeć, usłyszeć i poznać coś, co może — wyminiemy, a do czego może — przyłgniemy całym porywem dobrej woli. Ale w tej godzinie szukamy rzeczowego, krótkiego, pouczającego objaśnienia dla nas, analfabetów, dziedzin życia, w których inni są bakałarzami. Dlaczego tylko na zasadzie uroczystej frazeologii mamy współczuć, nie rozumiejąc? Niech nas pouczą, o ile są to rzeczy nauki, które głośno wyrazić można i należy! Dlaczego nie mamy o tem poważnych odczytów publicznych, tylko wykłady w kółkach o pewnym, nie każdemu odpowiadającym, rytuale psychicznym? Bo antropozofja stoi na stanowisku, że jest wiedzą, i broni się przed pojęciem kultu, jaki jej niejednokrotnie jest zarzucany.

Możliwe, że nią jest. Zjazd mało przyczynił się do tego, aby publiczność warszawska rozszerzyła swoje wiadomości w tym kierunku: chyba jednostki. Jednak, o ile nauką jest — tem dziwniejszym wyda się niespodziewany fakt, że na zakończenie pokazu przewodnicząca antropozofji na Polskę, podziękowawszy obecnej na sali p. Steinerowej za przybycie do Polski, co było zrozumiałą kurtuazją — na publicznej sali, podczas publicznego wykładu, zbliżyła się do niej i... pocałowała przedstawicielkę centrali niemieckiej w rękę. Jest to tak niezwykle dla nauki sposób wyrażania uznania i tak — ryzykowny do uskutecznienia w czyjekolwiek imieniu, oprócz własnego: że niewątpliwie należałoby go zachować raczej na bardziej prywatne okazje. Bodaj, aby nie wywołać aż nazbyt możliwego protestu. Za mało jest równowagi pomiędzy kopaniem naszych artystów na Opolu, a całowaniem po rękach kulturtraegerów u nas. Niewątpliwie, za prywatne odruchy, żeby zatrzymać się przy tem słowie, całość grupy nie może być odpowiedzialna — jednak z całą pewnością nie będą one ani przyczynkiem do sympatji w Polsce dla nowolansowanego stowarzyszenia, ani tem mniej — potwierdzeniem jego naukowego podłoża. Bo przyjmując, że Steiner istotnie był genialnym człowiekiem i wielkim uczonym, trudno przypuścić, że w razie, gdyby przybył do Polski i miał odczyt publiczny w uniwersytecie, żeby rektor na zakończenie pocałował go w rękę. Nauce naprawdę wystarczają bardziej ozięble, ale i mniej rażące oznaki uznania.



ZOFJA MISZEWSKA

POEMAT O SŁOWACKIM

Sława oddziela jednostkę od następnych pokoleń wielkim, chińskim murem legendy i tradycji.

Trudno go później przebyć tym pokoleniom, by wziąć w ręce codzienność życia Wielkiego, by spojrzeć twarz w twarz jego wszystkim szarym dniom, tak podobnym do naszych dni, do dni zwykłych ludzi.

Tradycja taka staje ciężkim i uporczywym kamieniem, między Nim a nami z późniejszych czasów i ani odrzucić jej, przez głęboko zakorzenioną cześć, ani iść jej śladami przez wieczną chęć kroczenia własną drogą.

I zaczyna się szukać podejścia chyłkiem do tego Wielkiego, którego chce osiąść czas terazniejszy, rozdrobnić na słowa, rozdzielić na obce uczucia i wzruszenia i nareszcie, nareszcie zrozumieć!

Podejście takie jest czasem profanacją, gdy chodzi o sensację, rozsianą potem po brukowych wydawnictwach, a czasem modlitwą o oddanie tajemnicy duszy. Takie to właśnie podejście pod ciężkie zagrody legend, badań naukowych i komunałów podjął Wołoszynowski, pisząc swą książkę o Słowackim *).

Zamiar, zaiste, odważny i praca ogromna. Tyle się już rzekło i napisało w tej materji, że wszystkie drogi zdają się być poryte śladami poprzedników, pilnych i fachowych badaczy. Jedyna jest tylko różnica: różnica celu. Słowackim, jako człowiekiem, interesowano się tylko w związku ze Słowackim, jako poetą. Wołoszynowski zaś postępuje odwrotnie, bo stara się podejść do niego samego i uprzyścić go nam przez wnikliwą analizę duszy.

Jednak świat realny nie wchodzi w rachubę w tych badaniach; jeśli czasem nawet przemknie jakiś skrawek rzeczywistości, to jest on tak mglisty i tak otoczony abstraktami, że sam się wydaje wizją. Wszystko tu zawisło i trwa na słowach, ułożonych w kunsztowne zwroty, na słowach, niby zaczarowanych duchem Słowackiego i jemu podobnych. Nie ma też twarzy autora, niema życia, niema świata, niema zjawisk; wszystko dzieje się w tym wymiarze duszy, gdzie może być tylko wizja, zaklęta, jak każda wizja, w mozajkę obrazów.

Ta „wizyjna” — że się tak wyrażę — mozaikowość, jest jedną ze słabych stron książki. Pod koniec pozostają czytelnikowi tylko strzępy wzruszeń, z których nie może zlepić całości, a z których tembardziej nie może powstać wizerunek Słowackiego. Mur legendy, tradycji i tych wszystkich powiedzeń

o Słowackim, rzuconych w świat, stoi między poetą, a autorem książki o poecie, mur, który w tym wypadku wznosił, miał znaleźć ukryte wejście, pietyzm Wołoszynowskiego. Autor ma duszę twórczą spełnioną tem, co wie o Słowackim i co otacza czcią. Nie wydobywa z jego postaci nic swego, lecz bez namysłu idzie śladami listów poety, od Drezna poprzez Paryż i Genewę, Ziemię Świętą, znowu Paryż... aż do śmierci. Czuje się w jego poruszeniach nieświadomą niewolniczość i świadomy strach przed profanowaniem tradycji i... przed niewolniczym naśladowaniem listów, które jednak wywierają na niego duży wpływ. I dlatego autor przerzuca się z jednej ostateczności w drugą: albo pisze tylko to, co było wspomniane w listach, nawet detale, jak np. o „comtesse Leidnitz i jej aniele-stróżu lokaju”, albo urywa akcję w pewnych miejscach, opuszcza całe ustępy listów, nie zapełniając luk samym sobą, co wpływa na fragmentaryczność układu i brak ostatecznego wykończenia.

A więc, kto zna dobrze listy Słowackiego, zrozumie książkę Wołoszynowskiego, ale nie dopatrzy się twarzy autora; kto zaś ich nie zna, w wielu miejscach nie znajdzie związku ani wewnętrznego, ani nawet zewnętrznego.

Najlepszym dowodem, jak niepotrzebną była zupełna zależność Wołoszynowskiego od listów poety, jest to, że tam, gdzie tradycja nie sięgnęła, czyli momenty nie zawarte w listach, gdzie poeta był sam ze swoją ideą i ze swoim talentem, są najpiękniejszymi ustępami książki.

Bo kogóż nie weźmie za serce chociażby taki opis nastroju rodzinnego w Krzemieńcu:

„Jest na stole ten sam samowar, który będzie cementem wzruszeń! Są i róże w pokoju sypialnym, jeszcze mokre od wieczornej rosy. Jest i czarna, stara suka Znajda, rezydentka dożywotnia u dziadków”.

A dalej:

„Wieczór staje się coraz późniejszy. Niewidocznie przesuwają się godziny. Pasięka w ogrodzie dawno śpi, już niedługo obudzą się pszczoły. I krowa dawno zasnęła, napoiwszy Julka śmietanką. Dziadzio zasnął, zasnęła babcia; wierna Znajda pod piecem chrapie.

Nie śpią tylko matka i syn. Listy przecie nie o wszystkim mówią”.

Im mniej pięknie pisze Słowacki o czymś w swoich listach, tem piękniej pisze o tem Wołoszynowski. Słowackiego listy — im dalej w lata, tem piękniejsze; w utworze Wołoszynowskiego daje się zauwa-

*) Juljan Wołoszynowski: „Słowacki” — powieść. Wydawnictwo Polskie R. Wegner. Poznań — 1929 r.

żyć obniżenie poziomu: bardzo piękne i w stylu utrzymane są pierwsze rozdziały, a pod koniec wszystko jest zbyt mgliste, zbyt sztuczne i mało bezpośrednio. Autor nie daje nam rzeczywistego Słowackiego, nie pokazuje nam człowieka, chociażby o duszy z najcieńszej mgły utkanej, ale człowieka rzeczywistego. Do rzeczywistości Wołoszynowski zdaje się niekiedy dochodzić, nigdy jednak nie przekracza jej progu: wstrzymuje go od tego jego poetycka egzaltacja, każąca mu stać bez przerwy na koturnach nużącej wzniosłości. Ta sama egzaltacja kazała mu zatracić swój własny, tak niesłychanie piękny język, i poddać się pod wpływ Słowackiego.

Chodziło zapewne o ducha epoki, roztkliwionej na romantyzmie, doprowadziło jednak do dosłownych nieraz powtarzań zwrotów z listów. Mamy tu więc i „karteczkę kościaną“, pamięć „słonecznikową“, na szwajcarskich murawach „spią cicho białe szalety, obrośnięte krzewami róż miesięcznych“, i „jaskółczy niepokój“, i wiele innych. Prostu — „opowiedziane“ listy.

Niekiedy tylko wyrwał się autorowi z pod pióra jego własny styl, oszołamiający bogactwem zwrotów i porównań i zdobywający się na swój własny, czysty romantyzm. Lecz zaraz, niestety, roztopiał się w tak dobrze znanych powiedzeniach Słowackiego, które jednak nie zbliżały do nas poety, ale go właśnie oddalały, przez zasklepienie jego ducha w kręgu zanalizowanych i ocenionych już dawno słów.

Słowackiego-poetę, zamkniętego w drukowanych kartach jego dzieł, poznano już dawno. Po książce Wołoszynowskiego spodziewano się, że nam pokaże poetę-człowieka, bez akademickich roztrząsań i bez analizowania jego utworów. To znaczy, myślano, że książka ta da nam Słowackiego rzeczywistość, jakąkolwiekby ona była. Rzeczywistość jednak została za granicą możliwości Wołoszynowskiego.

Chiński mur tradycji wznosił się już za wysoko, by go autor mógł przebyć, tembardziej, że oczy mu zasnuł pietyzm dla wszystkich słów, przed nim wypowiedzianych. Stworzył rzecz piękną bezsprzecznie, ale tylko połowicznie. Jest to piękność formalna, a także fragmentaryczna, jako całość, nużąca. Za wiele mgły i wzniosłości, a za mało ziemi i prawdy. I trudno to nazwać powieścią — to raczej poemat mistyczny o Słowackim, stworzony na tle jego listów.

Z MUZYKI

Pokaz Eurytmji, urządzony staraniem T-owa Antropozoficznego w teatrze Ateneum.

Jeszcze jedna próba interpretowania muzyki zapomocą ruchów ciała. Uszlachetniona i wystylizowana rytmika, tem się różniąc od powszechnie przyjętych w tej dziedzinie form, że główną rolę odgrywają w niej faliste ruchy rąk, ramion i draperji. Szczególnie wymowne są dłonie i palce; nogi, całkowicie niemal przykryte długimi szafami, są podporządkowane niejako całokształtowi linii muzycznej, której plastycznym wyrazem jest postać ludzka w ruchu.

Takie są zewnętrzne objawy tej „nowej“ sztuki, której wewnętrzny, antropozoficzny rdzeń ukryty jest głęboko dla oczu laików. Jeżeli jednak odrzucimy całą tę teoretyczną przyprawę, a spojrzymy na eurytmję z punktu czysto estetycznego, jako na swoistą formę tańca, to przyznać jej musimy niezaprzeczną szlachetność, powściągliwość efektów, harmonję i, co jest rzadkością zarówno w życiu, jak w sztuce współczesnej: uduchowanie.

W tem płynnym przesuwaniu się bezszelestnych zjaw ludzkich wśród rozproszonego i umiejętnie stonowanego światła, w powiewaniu skrzydłami szat, w błogosławiących napoly, napoly błagalnych ruchach rąk jest coś rytualnego i mistycznego zarazem, jakby fragment jakiegoś kultu przyszłości, uskrzydłającego materję, upromieniającego ciało.

Taniec eurytmiczny nie podnieca, ale uspokaja, jak widok fal, i, jak widok fal, monotonią swą wreszcie usypia i nuży.

Jako interpretacja utworów poetyckich, np. „Proroka“ Puszkina, fragmentu z „Legjonu“ Wyspiańskiego, czy wreszcie „Pijanej pieśni“ Nietzschego — nie osiąga należytego wyrazu. Jest to jakby muzyka programowa, której niepodobna zrozumieć bez tekstu, a przy dokładnej jego znajomości rodzą się liczne zastrzeżenia i sprzeczności. Z chwilą, gdy dzieło sztuki wymaga specjalnego klucza, staje się sztyfem, rebusem, umową, wszystkim, tylko nie dziełem sztuki.

Istota eurytmji jest organicznie związana z muzyką, z niej się zrodziła, z nią współżyje w doskonałej zgodzie. Tak np. interpretacja tria Smetany, gdzie jeden z wykonawców ilustrował ruchami tony fortepianu, drugi — skrzypiec, trzeci — wiolonczeli, była skończonym areydzieniem przejrzystości, precyzji, harmonji i stylu.

Pokaz ten świadczy chlubnie o wysiłkach i kierunku szkoły eurytmji im. Rudolfa Steinera w Zurychu, i może w znacznym stopniu przyczynić się do uszlachetnienia i odrodzenia kultury muzyczno-plastycznej.

S. P. O.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI.

„Pan Topaz“ — sztuka w czterech aktach Marcelego Pagnola. Przekład Adama Zagórskiego. Reżyserja Karola Borowskiego. Dekoracje Stanisława Śliwińskiego.

Zaczyna się od lekcji w szkole, od umoralniających nauk, udzielanych uczniom, którzy o prawdzie życia wiedzą więcej od samego pana nauczyciela. Bo nauczycielem jest cnotliwy, naiwny i — powiedzmy szczerze — nierzeczywisty pan Topaz. Spadł z księżycą na ten ziemski padół i koryguje błędy czerwonym atramentem. Pan Topaz wierzy jeszcze w sprawiedliwość i uczciwość, przeżył bowiem swoje lata wśród szkolnych sentencyj, które rzucają gromy na dobra doczesne, gardzą złe zdobytym pieniądzem, są niejako odrazu mylnem założeniem dla logicznych wniosków o etyce i moralności.



Pan Topaz żegluje na swojej łódce wśród burzliwych fal, ale jego żagle są, jak romantyczne skrzydła, i jego dobre serce śpiewa pieśń o miłości do panny dyrektorówny. Kocha tak, jak to bywa w wierszu lirycznym: nieśmiało, a trochę śmieźnie. Poza to stawia sprawiedliwe stopnie swoim uczniom i nawet baronowska progenitura nie może go cofnąć z drogi uczciwości. Baronet jest leniuchem, jest tępy i głupawy, więc dostaje dwóje: ale dyrektor szkoły ma swoje racje. Nie może przecież stracić uczniów, którzy dobrze płacą, i dlatego wyrzuca Topaza na bruk.

Zaczyna się tak dla pana Topaza lekcja życia. Może trochę zbyt silnie wstrząsająca zasadami uczciwca, ale zato pogładowa. Jako słomiany firmant nieuczciwych interesów radnego miejskiego Castel-Bernaca, omotany sprytem jego kochanki Zuzy Courtois, pan Topaz przechodzi fazy oburzenia, lęku, pogardy, ale z wolna, z wolna otwiera oczy i poznaje życie. Takie właśnie przemądre, nie liczące się z niczem, bez skrupułów, życie aferzystów, wsparte wysoką protekcją, chybotące się na cieniutkiej niteczce między bogactwem a kryminałem.

Z początku jest intruzem wśród tych ludzi, nie umie się z nimi porozumieć, mówi, poprostu, innym językiem. Aż pewnej chwili — pojął. Zapewne stało się to w momencie całkowitego bankructwa jego zasad, ale już nastąpiło przesilenie, już się objawił kunszt tego życia, które daje pieniądze, znaczenie, pozycję w świecie. I pan Topaz genialnie, prześciga sprytem swoich nauczycieli, z malowanej figury przemienia się w prawdziwego dyrektora podejrzanych przedsiębiorstw, urządza się tak, jak pan radny miejski, a nawet lepiej, zabiera mu wreszcie piękną Zuzę i choć zapewnia, że, zarobiwszy na kilku nieczystych aferach, teraz będzie już robił uczciwe interesy, nie bar-

dzo mu już wierzymy. Widzieliśmy przecież, jak szybko od- była się ta metamorfoza i nabraliśmy już zaufania do sprytu pana Topaza.

Oczywiście — satyra. Ale jest coś niemilego w tej bez- czelnej prawdzie, w tem uogólnianiu lajdactw ludzkich. Po- cieszamy się tylko, że istnieje złoty środek, że między głupotą cnotliwego pana Topaza, a cwaniactwem Bernac'ów mieści się jeszcze inny świat — myśli, uczuć i bodaj moralnych zasad.

Panem Topazem był Maszyński, doskonale ucharaktery- zowany zewnętrznie i psychicznie. Niezrównana jest scena po- żegnania ze szkołą, nieprzesadna i przekonująca przemiana w ostatnim akcie. Samborski był aferzystą Castel-Bernac'iem, Kamińska — Zuzą, Krzewiński — dyrektorem szkoły. Nie stwa- rzali typów, ale głosili swoje „przekonania“, byli wyznawcami tej samej „moralności“, która zwycięsko przeciwstawia się szkolnym sentencjom.

TEATR MAŁY.

„Olimpja“ — sztuka w trzech aktach Franciszka Molnara. Przekład Zdzisława Kleszczyńskiego. Reżyserja Jerzego Le- sczczyńskiego. Dekoracje Karola Frycza.

Miłosny szantaż nie może oburzać w komedji. Tembar- dziej, gdy jakieś społeczne, czy klasowe podźwiewki melodra- matyzują się, niby w romansie kuchennym. Arcyksiążka i pię- kny huzar, wysoki ród i zwyczajny śmiertelnik! Coś takiego by- wa jeszcze w operetkach, w tych najgłupszych bajkach dla do- dorosłych dzieci, ale cały ten wielki świat Molnara, zatechły od habsburskich wyziewów, jest operetkowy. Uczucia redukują się do pożądań zmysłowych, konflikty klasowe wyrażają się w komunalach i w prostactwie. Więc ostatecznie nie można się dziwić, że rotmistrz huzarów Barna odwrócił sens kópenikjady i, jako międzynarodowy włamywacz, zdobył to, czego pragnął.

Obłuda arystokracji, jej podwójna moralność już nas nie przeraża; trochę się tylko dziwimy ich rozmowom, podobnym do dyskursów kumoszek, ich naiwnym intrygom. Ale, cóż ro- bić! Molnar miał swoje racje, swoje tendencyjne zamierzenia. Że to niby ci arystokraci — to znowu nic tak nadzwyczajnego, a ich pyszałkowatość zasługuje na ukaranie. I wreszcie, piękna księżna Olimpja, pouczona, ukarana, zachwyconą formą kary — schodzi z wysokich pałaców do chatki lubego.

Niemądra, niedowcipna komedja węgierskiego pisarza ma jednak swoje plusy. Są nimi: Leszczyński, Pancewiczowa, Czapliska. Wdzięk, uroda, humor naszych artystów — oto wartość tej sztuki.

H. N.



„Pan Topaz“. Mila Kamińska w roli Zuzy Courtois.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

TOW. WYDAWNICZE „RÓJ“.

- Zygmunt Kisielewski: „Porcelanowe oczy“ — nowele.
 Juljusz German: „Gwiaździsta noc“ — powieść.
 Seweryn Romin: „9.25“ — powieść (podług scenarjusza filmo- wego L. Nowińskiej i S. Romina).
 Sir Philip Gibbs: „Na rozdrożu“ — powieść — przekład R. Cen- ternszwerowej.
 André Maurois: „Klimaty“ — powieść — przekład Wacława Rogowicza.
 Zoszczenko: „Pająk i mucha“ — przełożyła Halina Pilichowska.
 Edgar Wallace: „Melodja śmierci“ — przełożył dr. J. P. Zajęcz- kowski.
 Dymitr Mereżkowski: „Żelazna obrączka“.
 Robert Hichens: „Ogród Allaha“ — powieść — przełożył z an- gielskiego Józef Jankowski.
 Salvatore Gotta: „Żona kochanka“ — przełożył Jan Palmira.

BIBLIOTECZKA HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNA.

- Nr. 127. *Juljan Ginsbert*: „Od koronek do płyt pancernych“ — (cykl morski).
 Nr. 128. *R. Krechoricz*: „Tajemniczy „D. O. X.“ — (cykl lotniczy).
 Nr. 129. *T. Straszewski*: „Z Wersalu do klasztoru“ — (cykl „Słynni kochankowie“).
 Nr. 150. *M. Godlewski*: „Szpieg-bohaterka“ — (cykl szpiegowski).
 Nr. 151. *Rafał Czeczott kpt. mar.*: „Dogger Bank“ — (cykl morski).

DOM KSIĄZKI POLSKIEJ.

- Biblioteczka Wileńska. Wydawnictwo Magistratu m. Wilna — 1929 r.*
 Nr. 1. *Janina Rodkiewiczówna*: „Cech introligatorski w Wilnie“ — zarys historyczny.
 Nr. 2. *Stanisław Pigoń*: „Z dawnego Wilna“ — szkice obyczajowe i literackie.
 Nr. 5. *Marja Łowmiańska*: „Wilno przed najazdem Moskiewskim 1655 roku“.

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE“.

- Fryderyk Lama*: „Ojciec święty — żywot i czyny papieża Piusa XI“ — przełożył Marceł Tarnowski.
Adam Czekalski: „Gdy królowa kocha“ — powieść o Barbarze Radziwiłłównie.
John Retcliffe: „Nena Sabib“ — romans — opracował L. Belmont.

Ks. dr. Marjan Nitecki: „Telepatja a mistyka“.

Kobieta w świecie i w domu

POLKI DOKOŃCZĄ BUDOWY INSTYTUTU RADOWEGO.

Związek Obywatelskiej Pracy Kobiet podjął godną uznania akcję zebrania funduszu na dokończenie i uruchomienie Instytutu radowego, imienia Marji Curie-Skłodowskiej w Warszawie. W tym celu zwołane zostało w ubiegłym tygodniu do lokalu Związku, przy ul. Brzozowej 2, zebranie przedstawicieli wszystkich polskich stowarzyszeń kobiecych, na naradę w sprawie zebrania brakującej kwoty.

Posiedzeniu przewodniczyła p. Marszałkowa Piłsudska, inicjatorce akcji zaznajomiły licznie zgromadzone delegatki stowarzyszeń ze stanem sprawy. Prym w całej akcji propagandowej radu trzymają dotąd, jak wiadomo, amerykanki. One to zakupiły pierwszy gram radu i ofiarowały go przed kilku laty naszej uczonej, która przekazała rad Warszawie. Obecnie wielka wynalazczyni zaproszona została do Ameryki, dla przyjęcia drugiego grama cennego ciała promieniotwórczego ze składek Ameryki. Wręczono Curie-Skłodowskiej sumę 50 tysięcy dolarów, które przeznaczyła na zakupno radu dla Warszawskiego Instytutu. Instytut ten, którego budowę rozpoczęto po bytności Curie-Skłodowskiej w Warszawie, w r. 1925, jest obecnie na zakończeniu, brakuje jednak do uruchomienia go jeszcze 900 tysięcy złotych; honor nas, kobiet polskich zaangażowany jest

w zebraniu tej sumy, w godnym odpowiedzeniu na ofiarność Ameryki i naszej wielkiej uczonej.

Zebrane delegatki Związków uchwały podjęcie energicznej akcji w tej sprawie. Postanowiono uświadomić najszerszy ogół o doniosłym znaczeniu Instytutu Radowego, drogą odczytów, radja, obrazów świetlnych, broszur, plakat i t. p., wzywając do gorącego poparcia całą prasę, a w szczególności pisma kobiece. Na zakończenie wyłoniono specjalny komitet, którego skład podamy w najbliższym czasie.

PRZYJĘCIE CURIE-SKŁODOWSKIEJ W AMERYCE.

Prasa amerykańska zamieszcza obszernie opisy entuzjastycznego przyjęcia Curie-Skłodowskiej w Stanach Zjednoczonych. Wielka uczona jest oficjalnie gościem Białego Domu, przez cały czas jej pobytu odbywają się w różnych miastach uroczystości na jej cześć. W gmachu Narodowej Akademii Umiejętności prezydent Hoover wręczył p. Curie czek na 50 tysięcy dolarów, na zakup radu dla Instytutu jej imienia w Warszawie. Z głębokim wzruszeniem wygłosił prezydent swe przemówienie, w którym oznajmił między innymi: „Szczęśliwy jestem, że w ten sposób Ameryka może choć w drobnej mierze zaznaczyć swój udział w powstaniu Instytutu Radowego, ufundowanego przez polaków“.

Przemawiał następnie prezes Akademii, stwierdzając współpracę naukową Polski z Ameryką; p. Curie Skłodowska dziękowała w serdecznych słowach, podkreślając solidarność Ameryki, Francji i Polski na polu pracy humanitarnej.

Druga wspaniała uroczystość odbyła się w mieście Canton, w stanie uwojorskim, w uniwersytecie św. Wawrzyńca. Przy udziale 10 tysięcy słuchaczy uniwersytetu, licznych przedstawicieli elity społecznej i naukowej miasta, rektor uniwersytetu, dr. Richard Sykes, nadał Skłodowskiej tytuł doktora honoris causa uczelni, pozem uczona dokonała otwarcia instytutu chemicznego, ufundowanego przez panią Hepburne i noszącego nazwę Curie-Hepburne.

„RÓŻYCZKA“ DAŁA DZIELNĄ ODPRAWĘ NIEFORTUNNEMU KRYTYKOWI.

Znakomita przyjaciółka polaków, Rosa Bailly, kochana „Różyczka“, sekretarka stowarzyszenia Przyjaciół Polski w Paryżu, oraz redaktorka miesięcznika „Les Amis de la Pologne“, nadesłała do redakcji „Bluszcza“ list, w sprawie niefortunnego wystąpienia krytyka francuskiego, p. Clément Vautel'a. P. Vautel w jednym ze swych artykułów w „Le Journal“ wyraził się, że *Mickiewicz jest wielkim człowiekiem, którego sława jest dla francuzów tajemniczą i której poznać wcale nie pragną*. P. Bailly protestuje energicznie przeciw temu twierdzeniu, podając na dowód swego wystąpienia szereg danych o rozpowszechnieniu się dzieł Mickiewicza we Francji. Stowarzyszenie Przyjaciół Polski wydało w tym roku wybór dzieł Mickiewicza w 25 tysiącach i wyjątki z „Pana Tadeusza“ w 10 tysiącach egzemplarzy, dalej w 5 tysiącach wyjątki z „Dziadów“, w tytulz studjum Kielskiego o Mickiewiczu, oraz specjalną broszurę: „Hold Francji dla Mickiewicza“ — w 50 tysiącach odbitek. Prawie cały nakład tych wydawnictw jest już wyczerpany i napływają ciągle nowe zamówienia, pomimo, że odsłonięcie pomnika naszego wieszca przestało już być „aktualnością“, w stolicy Francji. Od członków swych i elity umysłowej Francji otrzymuje stowarzyszenie taką ilość różnorodnych dowodów zainteresowania i uwielbienia dla dzieł Mickiewicza, że, jak dowcipnie pisze p. Bailly: „gdybyśmy chcieli przedstawić je p. Vautel, trzeba by mu je zawieźć taksówką“.

Widać w tem wszystkim silne węzły, łączące nas z Francją, ale widać też i wielką zasługę niezmordowanej działaczki, złotej więzi naszego porozumienia, która w kilka lat potrafiła rozszerzyć działalność Tow. Przyjaciół Polski na cały swój kraj, rozrzucając wszędzie jego oddziały, jednając dla niego najwy-

litniejszych przedstawicieli polityki, nauki, literatury i pracy społecznej, wydając setki tysięcy egzemplarzy tłumaczeń arcydzieł naszej literatury i studiów o Polsce, że staje się Polska do gruntu znaną całemu szerokiemu społeczeństwu francuskiemu, sprawiła to akcja Towarzystwa, którego p. Bailly jest najżywością sprężyną, baczna na każdy fakt, zachodzący w wspólnym życiu dwóch zaprzyjaźnionych narodów, jak z niezmiernym taktem i delikatnością wykazała to, po wystąpieniu p. Vautel, w swych listach do prasy polskiej.

POLSKIE ORDERY DLA JUGOSŁOWIANEK.

W tych dniach poseł polski w Belgradzie, p. Babiński, dokonał odznaczenia złotymi i srebrnymi krzyżami zasługi sześciu pań serbskich, członkiń klubu polsko-jugosłowiańskiego. Są to panie: Dara Cvetkovic, Leposawa Hristie, Zofja Medovic, Anna Petrovic, Zora Frisker i Walerja Stefanovic. Dekoracja odbyła się uroczysto w salonach poselstwa polskiego. Przed wręczeniem orderów, podniósł p. Babiński w swym przemówieniu zasługi odznaczonych pań i wielkie znaczenie pracy kobiet w zbliżeniu narodów.

PIĘKNOŚĆ I TALENT EGIPCJANKI

Spadkobierczyni przedwiojowej kultury Faraonów, kobiety egipskie, dążą obecnie dzielnie z postępem. Ruch kulturalno-oświatowy, literacki i społeczny w Egipcie prowadzą wybitnie utalentowane kobiety, wydając własny, doskonale redagowany miesięcznik „Egipcjanka”. Obecnie młoda śpiewaczka egipska, p. Leila Ben Sidera, została zaangażowana do Opery Komicznej w Paryżu. Jest to pierwsza muzułmanka, która śpiewać będzie w stolicy Francji. Pierwszy występ p. Ben Sidera w „Opowieściach Hoffmana” przyjęty został b. przychylnie,



P. Leila Ben Sidera

obecnie artystka wystąpi w „Lakmé”. P. Ben Sidera jest córką znanego uczonego egipskiego El Kassem Ben Sidera.

ĆWIERĆ MILJONA KOBIET WOŁA O PRAWO GŁOSU.

Kobiety szwajcarskie złożyły do Rady Związkowej petycję, żądającą praw politycznych. Petycja zyskała 250 tysięcy podpisów.

BIEDNI POKRZYWDZENI.

Przyszły obecnie takie czasy, że dawni „panowie stworzenia” zaczynają uważać się za pokrzywdzonych i tak gorąco protestują przeciwko temu, że aż zwolują wszechświatowy Kongres w obronie... praw mężczyzny.

Kongres ten, mający odbyć się w Wiedniu, w roku przyszłym, organizuje liczące już dziś kilka dziesiątków tysięcy członków stowarzyszenie angielsko-amerykańskie „Acquitas”, z siedzibą w Londynie.

— Kobiety — mówią członkowie tej nowej męskiej ligi — zyskały zupełne równouprawnienie na polu politycznym, społecznym, naukowym i zawodowym. Nie zadowolając się tem, zatrzymały w dziedzinie obyczajów wszystkie przywileje, które były racjonalne jedynie wtedy, gdy stanowiły pewien równoważnik upośledzenia kobiety w innych dziedzinach, ale które dziś nie mają sensu.

I tak: mąż musiał płacić alimenty rozwiedzionej żonie, gdyż ta nie miała innych sposobów utrzymania się. Dziś taka pani pracuje, prowadzi nieraz przedsiębiorstwo, rentowniejsze od zarobku męża, i rozwodzi się po kilka razy, żądając grubego odszkodowania, lub sutoch alimentów, i robi na tem majątek.

Dawniej mężczyzna ustępował wszędzie miejsca kobiecie i stawał w jej obronie, bo kobieta była słaba i nieśmiała. Dziś kobieta zwycięża cię siłą i zrezygnacją na konkursach sportowych, ale ty, biedaku, sfój jednak w tramwaju, w wagonie, gdziekolwiek, bo ona powinna siedzieć; występuj w jej obronie, choć boksuje się niegorzej od ciebie, i jeszcze dźwigaj jej paczki.

A więc „Acquitas” drukuje setki tysięcy zaproszeń i rozlepia sążniste plakaty, wzywające na zjazd w celu obrony biednych mężczyzn.

Cóż zrobić, czasem bywa i tak.

OD REDAKCJI

Wszystkie drobne rękopisy, których odbiór osobisty lub drogą korespondencji nie jest zastrzeżony, ulegają zniszczeniu. Rękopisy większe (powieści, artykuły, nowele) będą odsyłane jedynie po otrzymaniu przez Redakcję znaczków pocztowych w odpowiedniej ilości. W innych wypadkach będziemy odpowiadać w rubryce „Odpowiedzi Redakcji”. Z tego względu prosimy o zaznaczenie przy przysyłaniu rękopisu, pod jakim nazwiskiem (inicjałami, pseudonimem) ma być udzielona odpowiedź.

Listy w sprawach redakcyjnych (prośby o informacje, rękopisy) powinny mieć na kopercie napis: „Redakcja” i nie mogą zawierać żadnych spraw, związanych z Administracją, (prenumerata, zmiana adresu i t. p.), do której wszelkie zgłoszenia kierować należy osobno.

FAŁSZYWY WSTYD

Każdy naród posiada zalety i wady, dobre i złe strony charakteru. Niektóre dodatnie lub ujemne rysy tak są charakterystyczne dla danego społeczeństwa, że utarła się nawet nazwa: zalety lub wady narodowe. Ponieważ i my, polacy, podlegamy ułomnościom, jak i inni ludzie, mamy też swoje wady t. zw. narodowe.

Jedną z takich typowych, najczęściej u nas spotykanych, jest fałszywy wstyd. Widzimy jego objawy na każdym kroku u nas i wśród Polaków zagranicą, wśród starszych i wśród młodzieży. Wszędzie i zawsze czegoś się wstydzimy, chcemy uchodzić za coś większego, niż jesteśmy; urojona niezdrowa ambicja rumienić się nam każe tam, gdzie tego nie zachodzi potrzeba.

W skutkach jest to fatalne. Wyżej wymienione objawy prowadzą przede wszystkim do stałego mijania się z prawdą, a zatem do przyuczania i tak już ułomnej natury ludzkiej do nieszczerości, a nawet do stałego zakłamania. Następnie w oczach innych, szczególnie spostrzegawczych ludzi, podobne postępowanie ośmiesza nas, wywołuje politowanie, a nawet pogardę.

Nie zatrzymując się dłużej nad stale powtarzającym się u nas wstydem z powodu niższego pochodzenia, przejdziemy do bardziej jaskrawych i typowych dowodów naszej wady narodowej. A głównym jej objawem, i bodaj że najczęstszym, jest wstyd przyznania się do skromnego budżetu. Żyjemy zasadą „zastaw się, a postaw się”. Ale skąd wziąć na to i jakie będą skutki — nie zastanawia to nas zbyt długo, byle pokazać się światu materialnie lepiej i świetniej. I nietylko mężczyźni żyją w myśl tego nieszczęsnego przysłowia, dzielnie sekundują im nasze panie, chcące wybić się tak strojami, jak: przyjęciami ponad inne, czy innych, a to wszystko, by nie pomyślano, że ci lub te cierpią na brak gotówki.

Wyjeżdżając gdziekolwiek koleją, uważamy jazdę 3 klasą za coś poniżającego w oczach świata i podróżujemy tylko 2-gą, chociaż budżet nasz niebardzo się z tem zgadza. A gdy ostatecznie zdecydujemy się z musu na 3-cią klasę, wówczas podajemy znajomym fałszywą datę, lub inną godzinę odjazdu, by nas, broń Boże! nie odprowadzili i nie spostrzegli w przedziale 3 klasy. Byłoby to zbyt straszne i nie do przeżycia. Albo robi się następującą ewolucję, której raz sama byłam świadkiem. Otóż, jadąc kolejką podmiejską z Warszawy, zauważyłam następującą scenę, gdy zbliżaliśmy się do jednej ze stacyjek. Na korytarz 2-giej klasy, który oddzielony był od trzeciej drzwiczkami, wpadła pośpiesznie młoda, dobrze ubrana osoba, otworzyła okno i, wychyliwszy się, pozdrowiała serdecznie ko-

goś, oczekującego ją na stacji; następnie wyszła, naturalnie, przez drzwi 2-giej klasy. Cel tej sceny był jasny, a fałszywy wstyd jazdy 3-cią klasą widoczny, tembardziej, iż zauważyłam przez nieodkryte drzwi, że 3-cia klasa była prawie pusta i okno było otwarte. A ileż razy widzi się naszą inteligencję, rozmyślnie później wysiadającą z przedziału 3-ciej klasy, żeby ktoś znajomy na dworcu nie zauważył tej hańby!

Gdy podejmujemy przyjaciół, staramy się ugościć ich jaknajlepiej, jest to naturalne i dla gościnnej natury polskiej charakterystyczne; lecz dlaczego występujemy z wystawnym przyjęciem, często zapożyczając się na ten cel, byle nie narazić się na wstyd podania skromnej kolacji czy obiadu? Takie kosztowne uczyty, które u nas są na porządku dziennym, zdarzają się zagranicą tylko u bardzo zamożnych ludzi i w wyjątkowych okolicznościach. Skromnych przyjęć nikt się nie wstydzi. A życie towarzyskie ułatwia się w ten sposób, szczególnie wśród pań, że umawiają się w pewne dni i o jednej porze do cukierni czy kawiarni i tam spędzają przy kawie czy herbacie z ciastkiem kilka miłych godzin.

Do teatru wolimy nie chodzić, jeżeli nie możemy siedzieć na najlepszych miejscach (choć mamy dobry wzrok i słuch), byle nie narazić się na wstyd siedzenia w dalszych rzędach.

Gdy organizuje się jakaś składka, naturalnie krępijemy się dać mniej, niż 5 zł., choć ramy budżetu nam na taki datek nie pozwalają, lecz „wstyd” i „nie wypada” decyduje i robi nas hojnymi. Oto są ambicje z gruntu fałszywe.

Do fałszywie zrozumianych uczuć należy też wstyd punktualnego przybycia na wizytę, na bal, do teatru, na posiedzenia i t. p. W tem celu są szczególnie panie. Byle nie przyjść pierwszą, bo to jest niegodne ambitnej kobiety. Spóźnić się, owszem, to jest nawet w najlepszym tonie!! Tak przynajmniej u nas się przyjęło, ale w jakim celu, niewiadomo.

Do kategorii naszych narodowych bolączek zaliczyć należy również wstyd, płynący z pewnych zajęć koło gospodarstwa w domu, oraz pracy w handlu. W tym ostatnim kierunku jednak zrobiliśmy duży krok naprzód i zaczynamy powoli dochodzić do przekonania, że ucziwa praca nikogo i nigdy nie hańbi.

Wspomnę tu jeszcze o pewnym ciekawym u naszych pań objawie, który też pod rubryką fałszywego wstydu zapisać należy. Jest to podawanie znajomym nieprawdziwych cen za kupiony dla siebie przedmiot. Stale i umyślnie przesadza się zapłaconą sumę, byle się nie przyznać do tanio nabytego towaru. O, nierozważne panie! pomyślcie, ile w tem napozór niewinnem kłamstwie — płytkości i nieszczerości bezcelowej.

Do strasznego wstydu zaliczamy również noszenie paczek; szczególnie młodzież nasza uważa za

wielką ujmę dla siebie, gdy niesie przez ulicę jedną, lub, o zgrozo! kilka paczek. Te dwa ostatnie objawy są drobne wprawdzie, lecz niemniej ośmieszające nas w oczach innych, zdrowo na życie patrzących ludzi.

Z tych kilku wyliczonych powyżej przykładów fałszywego wstydu musimy dojść do wniosku, po poważniejszym zastanowieniu się, że, działając ciągle pod prężeniem urojonego wstydu, zatruwamy sobie i drugim życie i dajemy młodzieży naszej zły przykład, karmiąc ją zasadami z gruntu nielogicznymi i prowadzącymi do smutnych rezultatów. Kłamstwo, życie nad stan, utrudnianie wzajemnych stosunków — oto plon naszej wady narodowej! Zatem wszyscy polacy, a szczególnie kobiety-polki powinny zwalczać bezwzględnie wszędzie i zawsze tę przykrą bolączkę naszego społeczeństwa.

Marja Gołębowa.



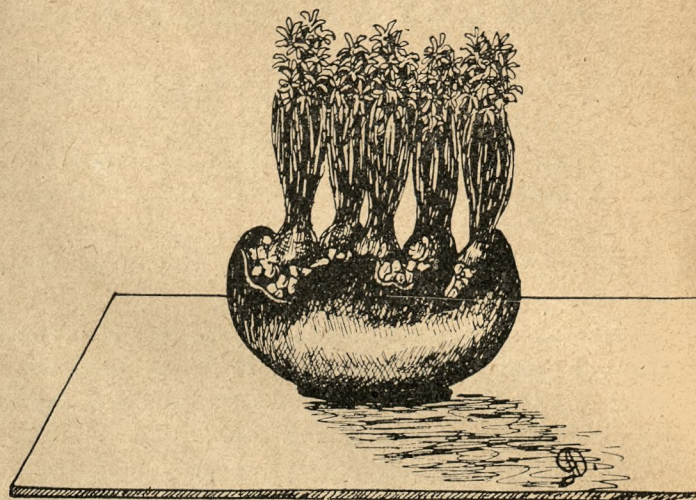
JAK CHIŃCZYCY HODUJĄ HIACYNTY

Jakkolwiek hodowla hiacyntów jest u nas bardzo rozpowszechniona, nawet przez niespecjalistów, jednak bardzo mało znany jest o wiele łatwiejszy sposób wyprodukowania tego pięknego, wonnego kwiatu, bez użycia ziemi, której zdobycie w mieście jest nieraz trudne.

Chińczycy dawno już hodują w swoich mieszkaniach wszystkie rośliny cebulkowe, jak: narcyzy, irysy, hiacynty i inne — posługując się tylko kamyczkami i wodą, oraz używając do tego nie doniczek, a wazonów, które zimową porą, wobec braku kwiatów, stoją puste, bezużyteczne. Ten nowy sposób hodowli przeniósł się początkowo do Anglii, potem do Francji, gdzie z roku na rok coraz większe znajduje zastosowanie i zyskuje coraz więcej zwolenników. Oto, jak go opisuje p. E. Thiebaut w miesięczniku „Vie à la campagne“:

Przedewszystkiem zwrócić trzeba pilną uwagę, aby kupowane cebulki były zdrowe i duże i, jeżeli to jest możliwe, brać takie, które przygotowywane były specjalnie do wczesnego pędzenia, unikać zaś cebul raz już forsownie pędzonych, gdyż takie nigdy nie wydadzą pięknych kwiatów i kwalifikują się tylko do hodowli ogrodowej.

Nie wszystkie odmiany hiacyntów równocześnie się rozwijają; posadzone jednego dnia, zakwitają z różnicą 3—4 tygodni nawet, dlatego lepiej jest większe wazony, mieszczące w sobie parę cebulek



hiacynty kwitnące w majolikowej żardinierce

równocześnie, obsadzać zawsze jedną tylko odmianą. Nadają się do tej hodowli wszystkie wazony i żardinierki, bez względu na to, z czego są zrobione, t. j. z porcelany, szkła, glinki, czy też metalu, aby tylko były całe i na jakieś 6 do 8 cm. głębokie. Naczynia te napełniamy w dwóch trzecich częściach drobnymi kamyczkami, uprzednio doskonale wymytemi. O ile możemy otrzymać kamyczki z dna rzek, to jest takie, które woda oszlifowała, damy im pierwszeństwo. Teraz ustawiamy cebulki, podpierając je jeszcze kilkoma kamyczkami dla utrzymania lepszej równowagi, i wazon napełniamy wodą tak, aby pokryła całkowicie podłożone kamyczki, mocząc zaledwie spodnią część cebulki. Większa ilość wody spowodowałaby gnienie rośliny. Wszystko to stawiamy w miejscu ciemnym, można nawet do mniej używanej szafy, której temperatura nie przekracza 15° do 16° C.

Po upływie kilku dni sprawdzamy, czy jest dostateczna ilość wody, po tygodniu zaś należy całą wodę wylać i naczynie napełnić świeżą, o temperaturze pokojowej. Aby wylać wodę, przechylamy naczynie, przytrzymując palcami rośliny i kamienie, żeby przez poruszenie nie uszkodziły formujących się już korzonków. Jeżeli się cebulki przy tym zabiegu poruszają, trzeba je znowu kamyczkami popodpierać. Oględziny te powtarzamy znów po tygodniu, aż do czasu, gdy już korzenie dostatecznie się rozwiną i oplotą kamyczki, a można o tem łatwo się przekonać, próbując roślinę leciutko unieść. W naczyniach szklanych, przezroczystych, poruszać cebulki nie potrzebujemy, gdyż przez ściankę widać doskonale, jak głęboko sięgają korzenie.

Irysy i narcyzy rozwijają się już po upływie dwóch tygodni, na hiacynty czekać trzeba nieraz cztery i pięć tygodni, trzymając je ciągle w ciemności. Gdy korzenie już dostatecznie silne i pęk, z którego ma powstać roślina, nabrzmiały, przenosimy je do miejsca jaknajwięcej oświetlonego, na okno

lub w pobliżu jego. Wietrząc pokój, co powinno się robić codziennie, odsuwać musimy rośliny od okna, gdyż one, tak jak i ludzie, boją się przeciągów. Wodę zmieniać trzeba nadal co tydzień i często zaglądać i dolewać, o ile szybciej bywa teraz zużyta, lub wyparowuje z powodu cieplejszej temperatury mieszkania. Szczególnie baczną uwagę zwracać należy w pomieszczeniach, ogrzewanych centralnie; tam zaleca się nawet co parę dni spryskiwanie roślin za pomocą rozpylacza. Im mieszkanie cieplejsze, tem szybciej kwiat się rozwija; w normalnych warunkach, o ile temperatura nie jest wyższa nad 16° C., czas kwitnienia trwa do 4—5 tygodni.

Po przekwitnieniu wyjmujemy cebulki, osuszamy je (aby nie raptownie przy ogniu, lub w miejscach wyjątkowo ciepłych) i przechowujemy do września, czy do października, żeby je zasadzić w ogrodzie. Kamyki, starannie wyczyszczone, przechowujemy do następnego roku.

Hodowlę taką rozpocząć możemy już w drugiej połowie października, lub pierwszych dniach listopada, aby na Boże Narodzenie mieć już hiacynty w pełnym rozkwicie. Wszystkie gatunki dają się w ten sposób prowadzić; lepiej jednak stosować się do skłonności każdej poszczególnej odmiany, to jest zacząć w jesieni od odmian wczesnych, późniejsze zostawiając na zimę i wczesną wiosnę. Z odmian najwcześniejszych polecić można: L'Innocence — biały, Moreno — różowy, Garribaldi — ciemno-czerwony i Fürst Bismarck — jasno-niebieski. Z późniejszych białych: Queen of the Whites i la Grandesse; różowe: Gertrude, Lady Derby i Queen of the Pinks; czerwone: la Victoire; ciemno-niebieskie: King of the Blues i jasno-niebieskie: Perle Brillant i Grand Maître, oraz żółte: City of Haarlem.

Stroną dodatnią tej hodowli jest: możność wyzyskania szerszych wazonów i żardinerek, sadząc od razu kilka cebulek, oraz daleko piękniejsza dekoracja stołu, aniżeli dać ją może doniczka z pojedynczą rośliną.

Stosując się ściśle do powyższych wskazówek, z łatwością osiągnąć można wspaniałe rezultaty, które szczerze wynagrodzą minimum włożonych starań, dając nam przez całą długą i posępną porę zimową — piękne i wonne kwiaty, które umilą nasze ogniska domowe.

A. D.

Czy wiesz, że..

Nic Ci nie pomoże nowy strój balowy,
Ani też misterna ondulacja głowy,
Jeśli nie użyjesz — strojąc się na bal —
Cudnych perfum ŻAKA „LILAS IMPERIAL“ .. 203

PRYZMAKI GRZYBOWE

OPIEŃKI I PODPIEŃKI.

Dlaczego Panie nie korzystacie z opieńek? Takie ich w całej Polsce masy jesienią, że chłopci z Gór Świętokrzyskich i z pod Sambora, dostawiający wagonami znakomite te grzyby do miast pobliskich, nie mogąc do ich zbierania — jak sam widziałem — nastarczyć rąk, koszą je kosami i zgrabiają na wozy grabiami!

Rosną na pniach ściętych drzew, zarówno liściastych, jak i szpilkowych, bujnemi gromadami, nieraz i po kilkaset owoców liczącemi.

Opieńka miodowa (*Agaricus melleus*, później *Armillaria mellea*, dziś *Clitocybe mellea*) znacznie większa (kapelusz nieraz wielkości talerza) od radszej podpieńki zmiennej (*Pholiota mutabilis*), jest ponadto straszliwym szkodnikiem drzew żywych: oplatając swą grzybnię u korzeni i wiążąc wokół nich na rodzaj cementu otaczającą ziemię i piasek podłoża, uniemożliwia opadniętym drzewom pobieranie soków z ziemi i skazuje je na rychłe obumarcie. Pozatem, grzybnia jej biała i cienka, wślizgując się łatwo pod korę pni, nieraz do samej korony, wytwarza tam sploty czarnych, lśniących, twardych sznurów (*rhizomorpha*), które, dopełniając dzieła zniszczenia, dają początek niezliczonym dalszym pokoleniom grzyba. Sznury te bowiem, t. zw. przetrwalniki, uwolnione w jakikolwiek sposób (najczęściej ręką nieświadomego człowieka) z uścisku kory powalonego drzewa-trupa, porzucone gdziekolwiek, wytwarzają w sprzyjających warunkach grzybnię, która opanowuje korzenie innych drzew — i tak wciąż, wkońko.

A pamiętać należy, że prócz tego i same owoce wytwarzają coraz to nowe, niezliczone możliwości rozplodowe, o których gigantyczności przekona nas fakt, że jeden poszczególny owoc opieńki wysypuje z pomiędzy blaszek kapelusza przez okres swego bytowania (trwający 3—4 doby) — niemniej, niż 30 do 40 milionów zarodników w jednej godzinie!

Dlaczego więc w Polsce nie zbiera się masowo opieńek, choćby w tym celu, aby drzewostan nasz ratować od grożącej mu z roku na rok coraz bardziej zagłady?

Opieńki i podpieńki zna nawet każde dziecko wiejskie, więc dokładniejszego ich opisu tu nie podaję. Zwracam jednak uwagę na podobieństwo tych grzybów do maślanki wiążkowej (*Hypholoma fasciculare*), rosnącej również na pniach i również w zwartych bukietach — która, odznaczając się jasno-cytrynowem ubarwieniem kapeluszków i trzonków, a brudno-zielonawem blaszek (opieńka i podpieńka są jednolicie ubarwione jasno-brunatno), jest grzybem gorzkim i lekko trującym.

Wartość odżywcza i smakowa opieniek i podpieńki jest duża. Czy widziały kiedy Panie próchno świecące? Właściwość tę niezwykłą dały mu owe grzyby, które wytwarzają w sobie tyle soli fosforowych, że aż przepojony niemi pień, na którym grzyby te wzrosły, rozpadłszy się w próchno, świeci nocami, dając impuls maluczkiemu do niezliczonych legend, gusiel i zabobonów. Dla ozdowieńców, chorych nerwowo, a zwłaszcza dla dzieci, potrzebujących dużo soli fosforowych dla zasilania niemi wzrastającego organizmu (zwłaszcza mózgu, nerwów i kości) — to jednak nie gusio, nie zabobon, ale fakt niezbity, że intensywne odżywianie się opieńkami i podpieńkami (wogóle grzybami!), to kwestja zdrowia i sił, a więc i szczęścia!

Kto więc w Polsce całej żyw, niech zbiera, kupuje opieńki, podpieńki, niech je zajada na świeżo w maśle i śmietanie, niech je suszy, konserwuje w occie, lub kisi w soli z cebulą, jak rydze, bo rzecz to naprawdę przednia!

Opieńka miodowa suszona. Same kapelusze, nie obmywając, otarłszy tylko, gdzie trzeba, suchą szmatką, pokrajać w kawałki i suszyć na czystych bibułach, na średnio ciepłym piecu. Przechowywana w rzadkich woreczkach płóciennych wysoko na ścianie, nad codzien opalonym piecem kuchennym, nadaje się świetnie do zup, sosów, farszów, potraw grzybowych na post i t. p. W każdym z tych wypadków należy ją (jak wogóle wszystkie grzyby suszone!) moczyć przez 24 godziny w słodkim, przegotowanym mleku (w garnku kamiennym!) i w pozostałym z mleka sosie nazajutrz ugotować, a następnie dopiero do różnych celów używać.

Słodkie pieczywo z opieniek miodowych. Sama nazwa: „opieńka miodowa“ wskazuje na stosunkowo znaczną zawartość w niej cukru (mykoza). Suszona — smakuje i pachnie miodem.

Zetrzeć na miątką mączkę, zmieszać dobrze z 4-krotną ilością mąki pszennej, zarobić mlekiem z cukrem lub miodem, dodać podwójną niż zwykle ilość drożdży, uformować placuszki lub bułeczki i wypiekać. Bardzo pożywne i smaczne, zwłaszcza, jako sucharki.

Opieńki i podpieńki kiszane. Same kapelusze obmyć szybko w zimnej wodzie i po otrzepaniu z niej, układać warstwami, jak rydze do kiszenia, w kamiennym garnku, w szklanym słoju, lub nowej, wyparzonej drewnianej dzieźce, przekładając (jeśli kto lubi) drobno krajaną cebulą i przesypując miątką solą (dno naczynia wysypać wprzód solą, potem dopiero kłaść grzyby!). Tajemnica dobrego ukiszenia grzybów w tem, by układać je w naczyniu spodem kapeluszków do góry, a to w tym celu, aby ułatwić w czasie kiśnięcia wydostawanie się z pomiędzy blaszek grzybów powietrza i gazów. Ostatnią warstwę przykryć czystą szmatką płócienną, na nią położyć drewniane, dobrze wyparzo-

ne denko, a na to czysto obmyty, ciężki kamień (nie ciężarek metalowy!).

Podpieńki i opieńki, w ten sposób ukiszone, są delikatesem bezspornie wartościowszym, niż kiszane rydze.

Budyń na soku z ukiszonych podpieńki. Grzyby te, kisząc, wydają dużo ciemno-brązowego soku. Odlewać, by w naczyniu nie było go nigdy za dużo. Odlany skosztować: jeśli zbyt słony, rozcieńczyć w miarę wodą i na soku tym ugotować na gęsto zwykłą tatarczaną (hreczaną) kaszę, wprzód dobrze w zimnej wodzie wypłókaną. Gdy podgęstnieje, podłożyć masła, wyprażyć, wylać na salaterkę i wstawić do szpiżarni. Skoro całkiem oziębnie, wyrzucić „dnem“ do góry na talerz i podać na zimno, po wódce.

Rzecz to całkiem nowa i — godna Olimpu!

Prof. F. Teodorowicz.

JARZYNY SUSZONE

Lekarze i higieniści zalecają codzienne używanie jaknajwiększej ilości jarzyn i owoców — zmniejszenie do granic możliwości pokarmów mięsnych i mącznych.

Tymczasem nietylko warunki klimatyczne, lecz i brak dobrej organizacji w handlu produktami roślinnymi sprawia, że po wielkich miastach tylko ludzie bardzo zamożni pozwolić sobie mogą na użycie codzienne jarzyn zimą i wczesną wiosną, a po małych miasteczkach przez większą część roku niczego nabyć nie można poza kartoflami, kiszoną kapustą i burakami. Jarzyny, przechowywane w piwnicy — już nie mówiąc o tem, że połowa lub więcej ich się zepsuje, spleśnieje i ostatecznie zgnije — po nowym roku nabierają przykrego zapachu stęchlizny i nietylko na oddzielne dania, lecz nawet na smak do zup i rosółów użyć się nie dadzą.

Brakowi temu zaradzić mogą tylko zapasy jarzyn suszonych. Jedynie dziwnemu naszemu konserwatywizmowi i brakowi przedsiębiorczości przypisać należy, że jarzyn takich w handlu prawie się nie spotyka. Wyrób ich jest niesłychanie łatwy i niekłopotliwy, a uczą go nietylko w specjalnych szkołach gospodarczych i ogrodniczych, lecz nawet na kursach gospodarczych w ostatnich dwóch oddziałach szkół powszechnych.

Tymczasem w sklepach gastronomicznych spotykamy li tylko jedną, tak zwaną, julienne'ę, czyli drobno krajane jarzynki do rosółu. Julienne'a taka powinna się składać z kompletu włoszczyzny, zwykle używanej, czyli: marchewki, pietruszki, selerów, porów, ewentualnie cebuli (brukiew i rzepa do suszenia mniej się nadają), z dodatkiem do miészani-

nek wykwińnięjszych groszku, młodej fasolki w strączkach, brukselki, małych kawałków kalafjorów i t. p. Tak być powinno — a jest zupełnie inaczej. Połowę tak zwanej julienne'y stanowią płatki kartoflane, co jest oczywistym fałszerstwem i pociąga przy użyciu jej fatalne skutki. Płatki kartoflane rozgotowują się znacznie prędzej, niż reszta jarzyn, i zamiast czystego smaku na zupę lub rosół, otrzymujemy mętną, nieapetyczną kartoflanę.

Poza taką mieszaniną, innych, poszczególnych gatunków jarzyn zdobyć prawie nie sposób, a szkoda, bo dobrze ususzone jarzyny, oplókanie i namoczone na dwanaście godzin przed użyciem w zimnej wodzie, po ugotowaniu i zaprawieniu świeżym masłem, w niczem świeżym nie ustępuje, mają śliczny kolor i aromat. Poza julienne'ą mamy jeszcze tylko groszek suszony, sprzedawany, o ile jest nieco drobniejszy, po potwornie wysokich cenach i mający, nie wiem czemu, dodatkowy, a zupełnie niepotrzebny i bardzo niemiły zapach grzybów suszonych.

Do suszenia wybornie się nadają: marchewka, kalarepka, brukselka, krajana w paski kapusta włoska, najmłodsza fasolka w strączkach — zielona i szparagowa — groszek cukrowy w ziarnach, nawet dużych, byle jeszcze miękkich, groszek w strączkach z gatunków „marrow“, bez wewnętrznej łuski pergaminowej, cebula, a nawet buraczki ćwikłowe. Tych dwóch ostatnich gatunków jarzyn suszyć jednak chyba się nie opłaca, wobec tego, że nawet w najlichszych miastach nabyć je można przez rok cały.

Przed wojną istniały ogromne fabryki jarzyn suszonych w okolicach Moskwy i na Krymie, zaopatrywały one w susz jarzynowy nie tylko była Rosję, lecz i prowincje obecnej Rzeczypospolitej. Na Inflantach polskich istniała w Helenowie fabryka suszonych jarzyn pp. Kwinty i Sienkiewicza, którzy zwycięsko z temi wielkimi fabrykami rosyjskimi konkurowali i których wyroby cieszyły się powszechnem uznaniem, nawet w bardzo, pod względem gastronomicznym, wybrednym Petersburgu. Sądzę, że panie-ziemianki i właścicielki ogrodów podmiejskich, tak stale na brak zbytu na produkty gospodarcze narzekające, mogłyby doskonale spieniężać swoje jarzyny, przerabiając je na susz wyborowy. Nie trzeba do tego ani kosztownych instalacji, ani oddzielnych budynków. Suszarnie o ruchomych sitach i maszynka do czyszczenia i krajania jarzyn wystarczą do wyrobu kilkudziesięciu kilo suszu dziennie.

Tylko jedna uwaga: jeżeli te panie chcą liczyć na duży zbył, powinny kalkulację cen przeprowadzić jaknajskromniej. Zarabiać rzeczywiście tyle tylko, ile surowiec i robocizna, plus uczciwy zysk, wynoszą. Bo te ceny, które spotykamy teraz, są horendalne. Zafalszowana kartoflanami płatkami julienne'a jest sprzedawana po 8 do 10 złotych za

kilo, tymczasem przy próbie, przezemnie przeprowadzonej, ususzenie takiej mieszaniny w domu — notabene z jarzyn, kupionych na rynku w stolicy, a zatem stosunkowo bardzo drogich — kilogram wyborowego, aromatycznego suszu wypadł 1 złoty 17 groszy.

Tak! każda gospodyni jarzyny suszone przynajmniej do rosolu i na smak do innych zup i sosów, sama u siebie przyrządzić może. Jest to o wiele prostsze i łatwiejsze, niż przyrządzanie kompotów, konfitur i innych konserw zimowych.

Starannie obmyte z ziemi jarzynki należy oskrobać i, nie mocząc więcej, pokrajać w cienkie paski lub krążki, rozsypać na płaskich blachach (jakich używamy do pieczenia mazurków), podścielając czystym papierem. Po obiedzie i kolacji, dopóki jeszcze piecyk dobrze ciepły, wstawiamy weń te blachy. Nie należy ich wsuwać do samego końca, niech pomiędzy blachą, a ścianką pieca pozostanie puste miejsce na parę centymetrów. Drzwiczek też nie należy szczelnie domykać, a to wszystko, aby zachować cyrkulację powietrza. Na czas gotowania posiłków, gdy piec się zanadto nagrzewa i zachodzi niebezpieczeństwo zarumienienia jarzynek, blachy wyjmujemy. Od czasu do czasu należy jarzynki lekko przemieszać, aby schły równomiernie. Po paru dniach są gotowe.

Suszmy każdy gatunek oddzielnie, poczem mieszamy wszystkie razem i przechowujemy w szklanym (nie glinianym) słoju, lub w płóciennym torebce, powieszony w suchym miejscu. Mówię tu o mieszaninie do rosolu; kto ma czas i własne jarzyny z własnego ogródka, może tak samo ususzyć poszczególne jarzyny, wyżej wyliczone; zastąpią mu wybornie świeże, a będą znacznie lepsze od przechowanych w piwnicy.

Pani Elżbieta.

APEL DO GOSPODYŃ



Zbliżają się zimowe wieczory, długie, nużące, które spędzacie beczynnie.

Kupując maszynę pończoszniczą „**ROBUS**“ na której praca nie wymagająca żadnych poprzednich wiadomości fachowych, zapewni Wam równocześnie minimum **zł. 200 — 300** stałego miesięcznego dochodu, wypełni beczynne godziny, a równocześnie zwiększając niedostateczne dochody męża, lub pozostałych członków rodziny, zaradzi troszkę materialnym, znajdziecie szczęście i zadowolenie. Na kupno tego nowożytnego warsztatu pracy domowej potrzebna gotówka zł. 340 — reszta na spłaty. Gotowy towar, wykonany na tej maszynie skupujemy, płacąc za wyrób i dostarczamy surowca.

Napiszcie dziś jeszcze do firmy:

Towarzystwo Handlowe J. Kalisz i S-ka. Cieszyn, ul. Trzech Braci 6.

Setki listów pochwalnych i dziękczynnych!
Tysiące maszyn sprzedanych w kraju!

219



GROCHÓWKA.

Na pięć pełnych talerzy grochówki wziąć ćwierć kilo surowego, wędzonego boczku, lub pół kilo golonki od szynki (z kością) i ugotować na tym smak z marchewką, pietruszką, zielem, pieprzem, listkiem i dużą cebulą. Czterdzieści deka grochu dużego, białego „Wiktorja”, lub drobnego, zielonego — gdyż oba te gatunki najlepiej się rozgotowują — namoczyć wieczorem w wigilję dnia, kiedy mamy gotować grochówkę. Następnie rozgotować zupełnie w niedużej ilości wody, nie soląc wcale. Przewarować przez durszlak, lub rzadkie sito, rozprowadzić rosółem z wędliny (powinno tego być razem około półtora litra). Zaprawić łyżką mąki pszennej, aby zupa była zawieszista. Włożyć parę ziarn utłuczonego pieprzu i trochę majeranku, na koniec, dopiero teraz, osolić zupełną do smaku. Do wazy włożyć drobno pokrajany boczeczek lub golonkę. Oddzielnie zrumienić w piecu grzanki z chleba pyłowego, skropione masłem i obsypane ostrym serem. Grzanki te kłaść na talerze z już nalaną grochówką, aby do ostatniej chwili pozostały chrupiące.

SUM Z SOSEM „A LA RUSSE“.

Sum, tak przyrządzony, może doskonale być podany w zastępstwie rzadkiego i stąd bardzo u nas kosztownego jesiota. Piękne, środkowe dzwono suma, wagi około półtora kilo, ugotować w niedużej ilości smaku z włoszczyzną, cebulą, pieprzem i listkiem. Sporą marchew, takąż pietruszkę, kawałek selera i dwie cebule pokrajać w drobne paski i uduścić na miękko w łyżce masła. Zasmażyć na rumiano łyżkę mąki z łyżką masła, rozprowadzić smakiem z ryby, zmieszać z uduszoną jarzyną. Włożyć dwie łyżki konserwy pomidorowej, łyżeczkę ostrej musztardy angielskiej, kilka drobno pokrajanych korniszonów, kilkanaście drobnych grzybków marynowanych, łyżkę kaparów, kilkanaście oliwek; za-

gotować to wszystko razem raz jeden, zakończyć łyżeczką najlepszego śmietankowego masła. Suma pokrajać w ładne plastry, ułożyć na półmisku, obłożyć wkoło kartoflami z wody i ugarniować zieloną pietruszczką. Połowę sosu wylać na rybę, drugą połowę podać oddzielnie w sosjerce. Kto chce ten sos jeszcze bardziej zaostrzyć, może doń dodać trochę kajenny lub papryki.

PIKLE Z JESIENNYCH OGÓRKÓW

Największe, jesienne ogórki — nasienniki — rozkrajając na połówki, ziarnka odrzucić, skórkę delikatnie obrać, pokrajać na kawałki, długości i grubości dużego palca. Osolić, potrzymać w soli całą dobę. Po dwudziestu czterech godzinach słony płyn odlać, ogórki osuszyć na sicie, lub lepiej na miękkim płótnie. Przełożyć do szklanego słoja i zalać lekkim octem, przegotowanym z korzeniami: pieprzem, zielem, listkiem, paru goździkami, kawałkiem imbiru. Po dwóch dniach ocet zlać, przegotować i znów ostudzonym zalać. Po następnych dwóch dniach ocet zagotować, na wrzący wrzucić ogórki i natychmiast odstawić na brzeg blachy. Dać wystygnąć marynacie. Ogórki wyjąć i ułożyć w słoju, przesypując obficie gorczyczą w ziarnach. Ocet jeszcze raz przegotować, dodając nieco mocniejszego. Na litr octu wysypać kopsiastą łyżkę cukru i po zagotowaniu pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Ostudzonym octem zalać poraz ostatni pikle, zawiązać pęcherzem lub pergaminem i przechować w suchym miejscu.

ŁATWE CIASTKA Z SEREM.

Piętnaście deka świeżego sera (twarożku), dobrze odcisniętego, tyleż masła, tyleż cukru i tyleż mąki zagnieść prędko. Dla zapachu można dodać trochę utłuczonej wanilji, lub parę gorzkich migdałów, obranych z łupinek i utłuczonych. Wałkować, biorąc ciasto po małym kawałeczku i podsypując obficie mąką. Wycinać foremką lub szklanką ciastka dowolnego kształtu, posmarować jajkiem i upiec w średnio gorącym piecu. Wyborne ciastka do herbaty lub kawy, niekosztowne i łatwe do zrobienia. Można je też posypać drobno usiekanymi migdałami lub orzechami.

Dr. J. ŚWITALSKA POWRÓCIŁA I ORDYNUJE: WARSZAWA
KRUCZA 31.

Kosmetyka leczn., choroby skóry.

PONCZ MROŻONY TRUSKAWKOWY.

Półkilową puszkę konserwowanych truskawek, lub taką samą ilość tego owocu, ugotowanego w Weck'u, przetrzeć przez durszlak, lub rzadkie sito. Dodać półtorej szklanki cukru i tyle wody, aby było pięć szklanek płynu. Weisnąć sok z dużej cytryny, zagotować raz tylko i dobrze ostudzić. Przełożyć do formy od lodów i zamrażać w sposób zwykły, nie za-
 łując soli do lodu. Gdy już masa zgęstnieje, dodać pianę, ubitą z trzech białek, pół butelki białego, francuskiego lub reńskiego wina; duży kieliszek białego araku, wymieszać prędko równo od samego dna. Podawać natychmiast po dodaniu płynów, gdyż poncz topnieje nierównie prędzej od lodów zwykłych. Podaje się w płaskich kieliszkach od szampańskiego, lub w wąskich szklaneczkach, zwanych szampankami. Poncz mrożony podaje się jako wykwintny napój orzeźwiający na zabawach, zamiast kruszonu lub lodów. Może też służyć na deser przy obiedzie lub kolacji. Nakoniec przy bardzo wystawnych obiadach bywa podawany przed pieczystem, dla odświeżenia smaku.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Pani B. M. — Szydłów — Zapytania w kwestjach ogrodniczych przekazuję p. Schönfeldowi, który chętnie udzieli Sz. Pani odpowiedzi. — Lampka nocna najhigieniczniejsza jest z oliwy i knotka: nie swędzi i nie zatrzuwa płuc osadem, jak nafta. — O zamianę zniszczonych aluminiowych naczyń niech się Sz. Pani zgłosi do fabryki, pod firmą „Pelikan“: Warszawa — Sielec, ul. Stepińska 10 — 16

Słuchajcie, panienki...

Gdzie Warta modra toczy swe wody,

Słyna dziewczęta z cudnej urody...

Kto chce im sprostać — rada życziwa — 204

Niech kremu „MIAFLOR“ ŻAKA używa!...

Dzięki znakomitym mieszankom,
 angielska herbata Lyons'a jest wszędzie
 produkowaną marką

Herbata Lyons'a

DO NABYCIA

we wszystkich pierwszorzędnych
 handlach kolonialnych.

213

Pani Z. K. — Kłateczko. — Numer „Bluszczy“, o którym Sz. Pani wspomina, jest wyczerpany. Wkrótce wyjdzie zeszyt „Życia praktycznego“ o wyprawach.

Stalej czytelniczce. — Pani Mar. P. przyjmuje petentów we Wtorki i Czwartki o godzinie 6-tej, trzeba jednak wcześniej prosić o przyjęcie.

Pani Br. Ż. — Gałaszyn — Plamy od much najlepiej czyścić sokiem, wyciśniętym z surowej cebuli.

Pani Z. K. — Warszawa. — Nie radzę Sz. Pani prać szalę w domu, bo kordonek nie tylko zmieni kolor, ale może zafarbować tło. Są oszczędności, które się nie opłacają.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
 rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczy“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZY“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnoślaska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZY“, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Plotkarstwo.

Niema chyba rzeczy brzydszej, bardziej poniżającej przedewszystkiem samego autora czy autorkę, szkodliwszej w stosunkach między ludźmi, niż tak powszechne, niestety, między kobietami intrygi i plotkarstwo. Plotka, to najgorszy wróg życia towarzyskiego, to wrzód ropiejący, którego zarazki sięgają daleko i niszczą niejednokrotnie szczęście, a nawet i egzystencje ludzkie. I, co najgorsze, osoba, padająca ofiarą plotki, jest najzupełniej bezradna: plotka jest nieuchwytna, trudno jest dojść jej źródła, trudno zbadać, jakimi szła drogami; czuje się tylko, jak błoto oblepia, ale dzieje się to i niespodzianie, i pozornie niewidocznie. Nie wiem, czy panie, rozsiewające wątpliwe wiadomości o drugich, zdają sobie sprawę z tego, jaką krzywdę wyrządzają osobie obmawianej, która ani zaprzeczyć, ani bronić się nie może. Wiemy, jak łatwo ludzie wierzą w rzeczy, ujemnie świadczące o bliźnim, jak chciwie słuchają nowin, które mówi się w tajemnicy wszystkim. Jedne powtarzają dosłownie to, co usłyszą, inne coś przekręca, jeszcze inne coś dołożą, i plotka rośnie, jak lawina. Gdyby taka pani, co plotkę w świat puszcza, wiedziała, jak szybko rozwija się jej dziecina, sama chyba przeraziłaby się swego przydługiego języka, boć chyba zdaje sobie sprawę z tego, jak trudno jest oczyścić się z błota, które tak mocno przylega.

Lecz tego trudno wymagać, bo trudno żądać samokrytycyzmu od osób, które plotkami się zajmują: są to przeważnie istoty, posiadające zawiele wolnego czasu, a stojące przytem na dość niskim poziomie umysłowym. Osoba taka nie zajmie się pracą społeczną, polityką, literaturą lub sztuką, bo ma na to zbyt ciasne pole widzenia; wie natomiast doskonale (a jak często aż za dobrze!), co kto robi, gdzie był, z kim i t. p. Istoty, nie mające żadnych poważniejszych zainteresowań, zajmują się przedewszystkiem tem, co każdego rozsądnego człowieka najmniej obchodzić powinno: sprawami swych bliźnich, które szeroko i coram publice omawiają. Jakże często w tramwaju, w pociągu lub wogóle w miejscu publicznem słyszeć można głośno i bez krepowania się prowadzone rozmowy o osobach trzecich, z wymienianiem nazwisk i poruszaniem nieraz bardzo poufnych spraw.

A jakąż z tem łączy się obłuda, jaka hipokryzja: taka pani, co urbi et orbi głosi najniepochlebniejsze wieści o swej znajomej czy przyjaciółce, przyjmuje ją u siebie w domu, zaprasza i bywa u niej sama w roli najserdeczniejszej przyjaciółki.

I ofiara tych plotek, aczkolwiek często wie o tem, nie ma dość cywilnej odwagi do postawienia sprawy jasno; do powiedzenia w oczy prawdy i zdemaskowania fałszywej przyjaciółki. Tłumaczy się... kulturą towarzyską. Nieprawda! niema tam kultury towarzyskiej, gdzie jest obłuda i kłamstwo. Bo plotka z kłamstwem się rodzi.

Jak zatem wyleczyć nasze kobiece społeczeństwo z tej choroby, jak się bronić przed temi napastami z za plotki? Skierowanie sprawy do sądu nigdy nie da stronie pokrzywdzonej należytej satysfakcji, gdyż prawodawstwo nasze nie obejmuje rzeczy tak czasem nieuchwytnych, jak straty moralne, doznane wskutek plotki, a strat konkretnych, namacalnych często trudno jest dowieść. Szukanie zadosyćuczynienia przez interwencję mężów, braci czy ojców, doprowadzające nieraz do zbankrutowanej dzisiaj idei pojedynków, jest absurdalne. Bo rzeczywiście bezmyślnem barbarzyństwem byłoby dopuszczać do pojedynku dwóch mężczyzn dlatego, że ich żony czy siostry poróżniły się ze sobą.

Sprawy te powinny kobiety same załatwiać we własnym zakresie. Pokrzywdzona powinna otrzymać pełne zadosyćuczynienie, winowajczyni musi ponieść pełną karę, musi być napiętnowana, jako złodziejka cudzej czci. Takie zadanie podjęła Liga Reformy postępowania honorowego, która jest w stanie rozwoju. Trzeba, aby instytucja ta jaknajprędzej weszła w życie. Przypuszczam, że obawa przed odpowiedzialnością honorową, przed bojkotem towarzyskim naprzykład, jako egzekutywą wyroku, odebrałaby wielu osobom ochotę do plotek i przyczyniłaby się do spokoju wielu jednostek, którym się dziś bezkarnie szarpie opinię, zatruwa spokój i odbiera dobre imię.

To byłaby sprawa jedna: zaradzenie złemu, które jest. Drugą, ważniejszą stroną zagadnienia byłoby wychowanie pokolenia, które nie miało by zamiłowania, skłonności i predestynacji do plotek. Trzeba uleczyć społeczeństwo od umiejętności i zamiłowania do kłamstwa, bo, jak powiedziałam, plotka z kłamstwem się rodzi, sama jest kłamstwem. A kłamać uczymy się już za młodu i w takiej atmosferze kłamstwa wychowuje się młódzież.

Dziecko jest świadkiem, a często i uczestnikiem kłamstw, popełnianych przez najbliższe swe otoczenie. Kłamię się dziecku, opowiadając mu brednie o bocianie, które potem obali bardzo często niewłaściwym oświeceniem służba, czy towarzysze, podrywając tem autorytet rodziców; każe się dziecku kłamać w tramwaju czy pociągu, by mniej za bilet płacić; poleca się dziecku okłamywać interesantów,

mówiąc, że „niema mnie w domu“; usprawiedliwia się nieobecność dziecka w szkole chorobą, chociaż w rzeczywistości były inne, mniej ważne przyczyny; odrabia się wreszcie za dziecko jego zadania, które ono podaje później, jako swoje, i t. p. Dziecko narazie nie zdaje sobie z tego sprawy, później oswaja się z tem i, niestety, przyswaja to sobie, zaczyna kłamać samo. Z dziecka wyrasta człowiek, który już tak się przyzwyczaił do kłamstwa, że czyni to niemal automatycznie, jak często bardzo spotykani blagierzy, podający zmyślane przeżycia za swoje i nieraz nawet sami wierzący święcie w to, co opowiadają. Jeżeli teraz z tego zamięłowania do blagi, z tego oswojenia się z kłamstwem na podłożu braku innych, ogólniejszych zainteresowań, narodzi się zamięłowanie do zajmowania się sprawami bliźnich, mamy typowe plotkarstwo. Jeżeli zatem z gruntu u przyszłych pokoleń wyplenić je chcemy, zacząć tę kurację należy od wyrzucenia kłamstwa z życia naszego i naszych dzieci. J. L. — *Królewska Huta.*

Dla naszej starości (w odpowiedzi p. M. Prażmowskiej.)

Propozycja Pani Prażmowskiej w „Naszej Mównicy“ (Nr. 43 „Bluszcz“): „Głos kobiety do kobiet“ znalazła oddźwięk i przypadła mi do serca. Nieraz o tem już myślałam, i o nieco podobnem załatwieniu tej sprawy, tak ważnej dla tych, które prześniły swą wiosnę, przeżyły lato i jesień, a teraz wkraczają w okres może b. smutny, gdzie każda chwila może być ostatnią, bo nikt z nas nie jest pewien, kiedy nadejdzie kres jego pielgrzymki.

Słusznie podnosi Pani P. niedolę biednych matek, które nieraz może wszystko poświęciły, by dać jaki taki byt swej córce, synowi, a w podzięcie mają gorzki chleb, skropiony łzami. Z takimi matkami b. serdecznie współczuję, i choć jestem dopiero po 30-tee, jednak ta myśl, że mogę znaleźć się na łasce dzieci, przeraża mnie.

Dlatego często myślę nad swą przyszłością, by uchronić dzieci od obowiązku utrzymywania mnie.

Smutne to, że rodzice, wychowując dzieci, co zresztą jest ich obowiązkiem, myślą nieraz bardzo wczesnie o ulokowaniu się u nich na stare lata. Jeśli życzymy dobrze naszym dzieciom, powinniśmy ustrzec je od obowiązku utrzymywania nas w starości.

Słuszna więc jest propozycja założenia „Ogniska emerytalnego“, z czem się gorąco solidaryzuję i sądzę, że większość Sz. Czytelniczek przykłaśnie tej myśli.

Może wyda się Szanownym Czytelniczkom, czytającym ten artykuł, niekonsekwencją, że z jednej strony współczuję ze smutną starością, a z drugiej biorę za złe wymagania starych, lecz, niestety, wpływa to z doświadczenia. Piszę tak nie dlatego, że nie jestem na schyłku życia i nie potrafię tego odczuć, przeciwnie, odczuwam i widzę, że myśl powstania „Ogniska“ jest najlepszym rozwiązaniem tej

kwestji i powinna jak najprędzej być zrealizowana. Choć niestara, jestem już emerytką i mam bardzo małe zaopatrzenie. Z całą pewnością przystąpię do „Ogniska“ i chętnie, gdyby było potrzeba rąk do czynu, w miarę swych zdolności, przystąpię do pracy.

Leonja Rychlewska—Poniec ad Leszno Wielkp.

Zachwyciła mnie i wzruszyła myśl Sz. Pani, założenia „Ogniska Emerytalnego“. Nie jestem jeszcze taka stara, mam 2 nieletnich synów — 14 i 10 lat. Mimo to, nieraz myślałam z trwogą o starości. Bo w życiu niespodzianek zawsze spodziewać się należy. Nigdy niewiadomo, czy rezultat naszych prac i zabiegów będzie taki, o jakim marzyłyśmy.

Z wdzięcznością więc przyjąłem projekt Sz. Pani i z całym zapalem. Zapisuję się odrazu na listę kandydatek, tak co do płacenia wkładek, jak i do pracy około założenia „Ogniska“.

Stefanja Rakowiecka z Krakowa.

Akcja w sprawie „Ognisk Emerytalnych“, rozpoczęta przez p. Prażmowską, powinna porwać ogół kobiet, tak jak mnie porwała. Pragnę gorąco, żeby kobiety wszystkie to zrozumiały i zabrały się, każda wedle swej możliwości, do pomocy w celu zrealizowania tej akcji i doprowadzenia jej do poważnych i pożytecznych rozmiarów.

Ja ze swej strony proszę o wskazanie mi, co mam robić, aby stać się w tej sprawie pożyteczną? Mieszkam na wsi, oddalonej od najbliższego miasteczka o 20 klm., przytem jestem niemłoda, mam 62 lata, i samotna, gdyż jedyny mój syn mieszka w Małopolsce. Wyjeżdżam dość często. Piszę to dla tego, aby wskazana mi łaskawie praca była dostępną. O propagandzie tej myśli nie potrzebuję wspominać, bo będę ją najgoręcej szerzyć.

M. Malczewska-Wydzdżyna — Raciborowice.

Liczmy a będziemy oszczędzali — echa konkursu „Bluszcz“.

Dziś rozpoczęłam prowadzenie „książki rachunkowej“. Dotychczas rachunki prowadziłam w poszczególnych zeszytach, chaotycznie, bez dzielenia wydatków na grupy. W końcu miesiąca zajmowało mi dużo czasu wyeliminowanie różnych sum, segregowanie.

„Książkę rachunkową kobiety polskiej“ dostałam od męża w prezencie, z życzeniem prowadzenia jej na konkurs, ogłoszony przez „Bluszcz“. Chciałabym to zrobić.

Wiem z własnego doświadczenia, ile się zyskuje na prowadzeniu domowej buchalterji. Jako przykład przytoczę fakt: po wyjściu zamaż, pięć lat temu, wydawałam na słodycze i różne przyjemności 25% miesięcznego swego zarobku, dziś wydaję z sumy zarobionej przezemnie i przez męża od 1 do 1,5% miesięcznie; jest to kwota, przeznaczona prawie wyłącznie na słodycze, których jestem wielką amatorką; kino i teatr wynosi nie więcej, jak 1 do 1,5%.

Zmniejszenie tak wybitne zbędnych wydatków zawdzięczam jedynie zachęceniu mnie przez męża do systematycznego przez parę miesięcy zapisywania dochodu i rozchodu. Od tej pory już tak do tego przywykłam, a nawet polubiłam, że brak mi czegoś, jeżeli wieczorem nie zapiszę i nie obliczę wydatków. Od tego też czasu ma u mnie większe zastosowanie przysłowie: „rozchodzie, żyj z przychodem w zgodzie!”.

„Bluszcz” jak i jego wydawnictwa, szczególnie z działu gospodarstwa domowego (red. przez Panią Elżbietę), bardzo przyczyniły się do zrównoważenia moich poczynań w tym zakresie; wielu rzeczy mnie nauczyły, wiele robię lepiej, za to też jestem bardzo im wdzięczna. I naprawdę, gdyby każda kobieta rozumiała i wzięła do serca to, czem jest dobrze zorganizowane gospodarstwo domowe, mniej miałby nasz kraj deficytu. A że to można zrobić i można się tego nauczyć, boć nie jest to przykre, ani trudne, to ja wiem bardzo dobrze. Z płoczej, rozrzutnej „kobietki” stałam się już prawie (bo jeszcze mnie czasem porywa) stateczną gospodynią, rozumiejącą dobrą gospodarkę i oszczędność, a „Bluszcz” prenumeruję dopiero dwa lata, więc nawet ta moja „szkoła” nie trwała zbyt długo, prawda?

To też przesyłając dla Pani Elżbiety, zarówno jak i dla całej Redakcji „Bluszczu” wyrazy wielkiego uznania, pragnę i z Sz. Czytelniczkami podzielić się rezultatami moich doświadczeń.

Matka Wojtusia z Woli

O jednym „uśmiechniętym” feljetonie (co sądzi p. Ejsmond o „babach“.)

Lubię bardzo, drukowane w dziennikach warszawskich feljetony i bajki p. Juljana Ejsmonda. Zwykle wprowadzają one czytelnika w nastrój malowniczo przedstawionego świata zwierzęcego w przepysznych opisach polowań, na tle przyrody; często błyszczą satyrą, ostrą, lecz wesołą, pełną doskonałych porównań, nieoczekiwanych zestawień i dowcipnej gry słów.

Oddając jednak naszemu nowoczesnemu Lafontaine'owi to, co mu się słusznie należy, nie mogę się powstrzymać od krytyki dwóch jego feljetonów, umieszczonych ostatnio w „Kurjerze Porannym”: „Baby, ludzie i zwierzęta” i „Już będę grzeczny”. Krytyka ta stanowić będzie również to, co się Sz. Autorowi należy... od nas, kobiet: sprawiedliwość musi być oparta na zasadzie, że każdy czyn otrzymać powinien odpowiednią zapłatę.

W feljetonie „Baby, ludzie i zwierzęta” opisał p. Ejsmond starszą osobę, która podczas chwywania żubrów w warszawskim ogrodzie zoologicznym, dla przewiezienia ich do puszczy Białowieskiej, narobiła alarmu w opinii nibyto krzywdzonych zwierząt. Od tej jednej „baby” przeszedł autor do „bab” (naturalnie, starszych) wogóle, darząc je takimi epitetami, jak: „trudno wymagać nawet od słonia, aby posiadał brzuch tych rozmiarów, co czeigodna, litościwa osoba”, „na sam widok baby, można było spło-

żyć się i połamać sobie obie nogi”, „przypominała wiejskiego kundla, który przejeżdżną bryczkę odpro-
wadza **szczekaniem** zgóry określony kawałek drogi i nigdy granicy **ujadania** swego nie przekroczy”. Dalej cały szereg porównań o twarzy i... nie twarzy, pomarszczonym słoniu, określił: „jazgotała, rechotała, kwiczała” i tym podobnych.

Trudno! owe nieszczęśliwe „baby” w ogrodzie zoologicznym zagrały p. Ejsmondowi na nerwach. Bywa i tak, aczkolwiek śmiało rzecz można, że nie tylko „baby” zachowują się wobec zwierząt niewłaściwie: równie głupie uwagi słyszeć można z ust ludzi różnej płci i wieku. Nie wiem też, na zasadzie jakich danych jest p. Ejsmond tak pewny, że „baby” to właśnie, owe litościwe „obrończynie” zwierząt, podają im później „szpilki w marchwi” i „szkło w bułkach”? Wypadałoby to sprawdzić.

Przyznaję, że byłam tak zdumiona i oburzona, że... odpisałam autorowi kilka słów obrony owych „bab” (nie w interesie własnym, gdyż jeszcze do starszej kategorii nie należę). Redakcja „Kurjera Porannego” odpowiedzi mej nie umieściła, lecz zakomunikowała ją p. Ejsmondowi. Rezultatem tego było, że na polemikę moją, **niewydrukowaną**, otrzymałam odpowiedź... w druku, w feljetonie: „Już będę grzeczny”. Sz. Autor tłumaczy mi, że istotnie feljeton swój pisał „w gniewie”, gdyż „starsza osoba, która **rykiem** swoim doprowadziła do wściekłości żubry, doprowadziła również do **wściekłości** i mnie”. Aha. Ale co najdziwniejsze, że przedtem dowodzi p. Ejsmond, iż feljeton jego dlatego wywołał odruch oburzenia, że był „uśmiechnięty”, bo: „**nienawiść do uśmiechu, to najcharakterystyczniejszy rys Polski współczesnej**. I właśnie te starsze, zgryźliwe osoby, o których pisałem, są **kapłankami tej nienawiści do uśmiechu**”. Nie, Szanowny Panie, tak uogólniać nie wolno! Dlatego, że są wśród starszych kobiet osobniki zgryźliwe, nietaktowne i niemądre, niewolno jeszcze twierdzić, że starsze osoby są kapłankami nienawiści do wesela i uśmiechu. I żadne zapewnienia, że chodziło tu o osobniki wyjątkowe, nic nie pomogą, bo ton obu feljetonów brzmi wyraźnym uogólnieniem. Ale najparadniejsza jest obrona autora w określeniu, że feljeton jego był „uśmiechnięty”. To miał być uśmiech! Satyrykowi dużo wolno, prawda, niemniej jednak nie może on wmawiać w ludzi, że złość jest uśmiechem. „Baby, ludzie i zwierzęta” to nie uśmiech, lecz grymas złości. Sięgając do porównań świata zwierzęcego, tak ulubionego przez p. Ejsmonda, żaden cietrzew nie potrafiłby tak się zacietrzewić, zwłaszcza, że piękne te ptaki zacietrzewiają się tylko w kierunku przyrodniczo ściśle określonym, ze złością nic nie mającym wspólnego.

Za cały ton obu feljetonów, zarówno jak za przekraczające już granice satyry, poszczególne wyrażenia, należy się feljetoniście od „bab”, zarówno starych, jak i młodych, parę słów odprawy. Nie mogąc umieścić ich w piśmie, w którym feljetony te były drukowane, proszę niniejszem o gościnność w „Mównicy”, poddając sprawę pod sąd Sz. Czytelniczek.

Jedna z młodych — Warszawa.